

czas. 12 12 / 2 / 13

CENA 50 GR.

ROK II. NR. 13 (26)

WARSZAWA

SOBOTA

31-III-1934 R.

PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

HENRYK
ELZENBERG

AHIMSA I PACYFIZM RZECZ O GANDYZMIE

TREŚĆ:

JÓZEF PIŁSUDSKI
SAMOWŁADCZY

GOSPODARZE
POLSKI

WŁADYSŁAW POBÓG
MALINOWSKI

SPOD PYŁU
ZAPOMNIENIA

HENRYK ELZENBERG
AHIMSA

I PACYFIZM

KAROL KRZEWSKI
PANA

WOJENNEGO
NAM TRZEBA

MICHAŁ WALICKI
WSCHÓD

I ZACHÓD
W SZTUCE RUSI

CZERWIEŃSKIEJ
EUGENJA WEBER

DOSTOJEWSKI
I TEATR

J. E. SKIWSKI
STYLIZUJEMY SIĘ

Z. T. KRĘPSKI
DWIE REAKCJE

RECENZJE,
SPRAWOZDANIA,

KRONIKA,
NOTATKI

Gandhi jest lux in tenebris, i wglębiać się w jego myśl, to napewno jedna z sensowniejszych czynności, jakim się w tych naszych nieustalonych a prących ku rozstrzygnięciom czasach warto oddawać: nie wymaga więc chyba wyjaśnienia sam fakt, że o nim pragnę pomówić. Nie może również dziwić nikogo zestawienie jego ahimsy z pacyfizmem europejskim: podobieństwa leżą na dłoni, i przecież to właśnie u nas przydano ostatnio Gandhimu zaszczytne w intencji miano „jedynego pacyfisty konsekwentnego”. Nieuzasadnionym natomiast, a co gorsza niesprawiedliwym, może się wydać zwrot polemiczny, jaki temu zestawieniu nadaję. Gandyzm jest czemś określonym: postawą i doktryną pewnej jednostki. Mówiąc zaś ogólnikowo o pacyfizmie, ma się na uwadze nie tyle czyjąś przemyślaną koncepcję, ile jakąś dość nieokreśloną przeciętną, o której coś niewątpliwego orzec jest trudno; a gdy więc będę tu źle o nim mówił — a mam zaiste ten zamiar! — łatwo mi wykaże kto zechce, że ten lub ów odłam pacyfistyczny, ten lub ów myśliciel czy pisarz, pod moją krytykę nie podpadają. Ale artykuł ten, to nie studjum o pacyfizmie, tem mnie: jakaś z nim walna rozprawa. Tematem moim jest Gandhi i jego doktryna ahimsy, a wzmianki o pacyfizmie służą tylko do uwydatnienia przez kontrast niektórych tej doktryny rysów naczelných. Czując Gandhiego, a pacyfizmu — szczerze się przyznaję — nie znosząc, postawiłem sobie pytanie jak, przy wielkiej pozornie bliskości obu kierunków, takie rozszepienie sympatyj jest możliwe, i jakie je mogą usprawiedliwiać ukryte pod powierzchnią głębsze różnice. Wynikami — w zwięzłym skrócie — dzielę się tutaj. Składają się one w sumie na charakterystykę ahimsy tymczasową co prawda i niewszzechstronną, obrysowującą raczej od zewnątrz niż silącą się dotrzeć do rdzenia, dla wstępnej jednak orientacji może nawet pożyteczniejszą niż przedczesna i zbyt śmiała próba wnikięcia w samo sanktuarium tej myśli, nie tak znów bez przygotowań dostępnej. Dla tej to bezpośredniej korzyści i dla uporządkowania swych pojęć, zanim się je postaram pogłębić, obstaruję tu przy sposobie ujęcia, którego braki znam i rozumiem. A strzały przy tej okazji wypuszczone przeciw pacyfizmowi? Niech padają na los szczęścia, jak się przydadzą. Jeśli trafią, będę się cieszył, jeśli jedna lub druga chybi, nie stanie się przez to mniej słuszną charakterystyka sama.

Między gandyzmem tedy a pacyfizmem widzę dość wyraźnie cztery różnice. Pierwsza i najbardziej widoczna polega na tem: pacyfista odrzuca wojnę, Gandhi — stosowanie gwałtu wogóle. Dla pacyfisty wojna, zabijanie człowieka przez człowieka w walce masowej, jest postacią gwałtu tak wyjątkową, tak krwawo się odcinającą, od innych jakoby mniej strasznych, że na tego jednego potwora idzie on naprawdę z wolą zniszczenia, a inne formy zła zwalczą półgębkiem, albo ich poprostu nie widzi. Dla Gandhiego jest to tylko jedna z form gwałtu, które zle są wszystkie i wszędzie, nie tylko zabijanie ale i przemoc, nie tylko przelew krwi ale i ucisk, — ten ucisk, któ-

ry raz po raz któryś pacyfista zachwala jako właśnie narzędzie pokoju. I złem w jego przekonaniu jest wyzysk, ta odmiana gwałtu obłudna, wyrosła z pobudek najnikczemniejszych; i złem również — łamanie sumienia groźbą i strachem, i całe to — gdy już są złamane — dobrotliwe umywanie rąk: że to przecież nikogo się ani palcem nie tknęło. Ahimsa — ahimsa doskonała — jest wyparciem się tego wszystkiego, rzuceniem za siebie nie tylko miecza, ale bata i pałki tak samo; jest wstrzymanie się od zabijania, ale także od upokarzania; równomiernem poszanowaniem życia, potrzeb, godności i uczuć. A nie mówię nic o formach „bezgwałtu” — bo tak się wyklada „ahimsa” — tak duchowych i uwewnętrznionych, że tracą już niemal styczność z tępą i grubą etyką czynu i przypominają świat myśli chyba tylko kazania na Górze, tego tekstu chrześcijańskiego, który musiał zapasać w duszę Hindusa opornego na chrześcijaństwo, by nareszcie stać się znów siłą żywą. Nie mówię o „gwałcie”, który tkwi w gniewie, ostrych słowach, nieprzyjaznych uczuciach; nie mówię o pozytywnych cnotach ahimsy, o miłości czy poświęceniu. Oczywiście: człowiek na ziemi, z niewygasłą wolą do życia (a w zupełne jej wygaśnięcie Gandhi nie wierzy), jest w stosunku do ideału ahimsy skazany na odstępstwa bez liku, i każde najdrobniejsze ograniczenie sfery gwałtu w sobie musi zdobywać w pocie czoła i poprzez ciągle rozdźwięki między zasadą a czynem. Ale to pewna: pacyfizm jest stanowiskiem praktycznym wobec jednej sprawy, pod wpływem wstrząsu dziejowego wyrwanej z całości kształtu spraw moralnych człowieka; — ahimsa jest doktryną etyczną obejmującą cały krąg życia i wykraczającą daleko poza jednostronny program „precz z wojną!” I to byłaby jedna różnica.

Drugą — najważniejszą praktycznie — dość trudno jest ująć w słowa; pojęciem tradycyjnym brak tu odcieni. W przybliżeniu tak ją określimy: pacyfista wojnę potępia, Gandhi ją dla siebie i swoich jako środek walki odrzuca. Chcę powiedzieć, że dla pacyfisty — pacyfisty oczywiście szczerzego, nie z tych, których pacyfizm jest tylko tymczasową pozycją taktyczną albo maską nieważności do czegoś — wojna jest złem często największym, zawsze — jakimś złem radykalnym: stronić od niej byłoby obowiązkiem nie tylko we wszystkich okolicznościach mogących dla nas zająć rzeczywistość, ale we wszystkich, które się teoretycznie dadzą pomyśleć, przy każdej jakiegokolwiek alternatywie. Dla Gandhiego są rzeczy gorsze od wojny, a że wszystkich grzechów przeciw ahimsie walka zbrojna dla celów czystych, skierowana przeciw silnemu i niewyradzającą się w rozbój, wolna zresztą od nienawiści i trzymana w ryzach przez wolę, jest kto wie czy nie tym właśnie, który istota moralna może wziąć na siebie względnie spokojnie. I mogą być pomyślane wypadki, w których wojnę, jako zło mniejsze, istota moralna wybrać powinna. Wypadki te dla Gandhiego i wyznawców jego idei nie zachodzą, ale mogą zająć dla kogo innego; na pewnych szczeblach rozwoju, niższych od moralności ahimsy, ale wyższych niż mo-

ralność przeciętna, wojna może się stać obowiązkiem.

Dwie rzeczy gorsze od wojny, to tchórzostwo i bierność znoszenie czy to hańby czy to jawnej niesprawiedliwości. Lepiej jest iść na wojnę niż stchórzyć, i lepiej jest dobyć miecza niż pozwolić się upokarzać. To wyraźnie i wielokrotnie jest powiedziane i brzmiałoby — jak widać — wprost wojowniczo, gdyby nie to, że według Gandhiego konieczność takiego wyboru nigdy nie wynika z natury rzeczy, ale tylko z naszej nieświadomości lub naszego niewyrobinienia. Bo przy stopniu kultury duchowej, jakiego się w ludzkości dzisiejszej — niezdziwiałem i nieuwstecznionej — wolno u przeciwnika spodziewać, zawsze stoi otworem dla śmiałych inna metoda przeprowadzania walki między ludźmi, skuteczniejsza niż gwałt i niż wojna, a całkowicie bezgrzeszna. Metoda ta, to ta właśnie, którą Gandhi stosuje przeciw Anglikom i dla której ukuł słynny dziś już termin „satyagraha”, co tłumaczy się różnie, ale co on sam najchętniej oddaje przez angielskie „truth-force”, „siła prawdy”¹⁾. Kto dorósł do satyagrahy, temu miecz jest już niepotrzebny. Ale jeśli kto do niej nie dorósł? nie zna jej, czy w nią nie wierzy, czy jej tylko nie potrafi stosować? Ten istotnie jest skazany na wybór między wojną a tchórzostwem, wojną a hańbą; i jego obowiązkiem jest wybrać wojnę. A że satyagraha nie jest metodą bez ryzyka i niebezpieczeństw, więc łatwiej niż mdły użytkowiec pokoju przebudzi się do niej wojownik, który już się na niebezpieczeństwa narażał i połowę cnot potrzebnych już posiadał. Wojna w niektórych swoich aspektach może bez paradoksu uchodzić za prodeutykę satyagrahy; tchórzostwo jest grobem wszelkich nadziei, byśmy do niej wznieść się zdołali.

To co powiem o pacyfizmie z okazji różnicy następnej nie dotyczy — chcę to podkreślić jaknajślisniej — jego ideologów; trudno podawać w wątpliwość pobudki altruistyczne u ludzi, którzy w to apostołstwo włożyli życie. Ale jednym z głównych motywów, dla których nie ideolog, ale człowiek szary i zwykły — przerażony perspektywą bomb warszawiania lub niechęący się bić o Saarę mieszczuch francuski — pewnego pięknego dnia robią odkrycie, że wojna jest wielkiem paskudztwem, to napewno obawa o własną skórę: stają się pacyfi- stą dlatego, że się dla siebie i swoich boją cierpienia i śmierci. Motyw ten dla bojowników Gandhiego nie istnieje i istnieć nie może. Powiedziałem, że satyagraha nie jest metodą bezpieczną: istotnie, w jednej z najgłówniejszych swych części jest ona niczem innym jak tylko rodzajem całopalenia z siebie samego, wojną w której się swoją słusność wypisuje przeciwnikowi na sercu własnym cierpieniem. Gandhi wierzy w skuteczność cierpienia; bierze je na siebie i żąda, by je brali na siebie jego wyznawcy; jakże więc jednym z motywów, dla których wyrzeka się wojny, miałby być lęk przed tą rzeczą, którą sam na miejsce wojny zaleca?

¹⁾ Dokładniej zdaje się „trzymanie się prawdy” „holding to truth”, — ale może się myleć.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K 1243/84/22

I oto przez to zagadnienie cierpienia dotarliśmy do jądra dyskusji i do różnicy ostatecznej, najważniejszej nie praktycznie już, ale w istocie. Bo jeśli prawdą jest, że dla człowieka najważniejszym jest nie to co się z nim dzieje albo jak ktoś wobec niego postąpi, ale to czem on jest w swej substancji, w mniej lub więcej czystym źródle swych przeżyć, to i w ocenianiu doktryn moralnych wypadnie powoływać się przede wszystkim nie na ich następstwa praktyczne, ale na ten gatunek człowieczeństwa i te substancje wewnętrzne, które w nich znajdują swój wyraz. Jeśli chęć oszczędzenia cierpienia sobie i swoim jest pierwszą i naczelną pobudką pacyfizmu ludzi zwyczajnych, to trudno chyba zaprzeczyć, że pierwszą i naczelną pobudką pacyfizmu ideowego jest chęć oszczędzenia cierpienia bliźniemu. Chęć godziwa lub raczej szlachetna: bo cierpienie jest złem niewątpliwym. Ale zgroza wobec cierpienia rozrosła się u pacyfisty do rozmiarów jakiejś idiosynkrazji — obłąd, w którym ginie poczucie, gdzie jaka rzecz ma swe miejsce w skali wartości. Ze najgorszym albo złą jedynym złym sposobem postępowania jest wojna, w to wierzy on tylko dlatego, że najgorszym albo jedynym złem, mogącem spaść na człowieka, jest przedwczesna śmierć albo cierpienie. Ale tak czuć, to już nie jest godziwie. Cierpienie jest złem największym tylko dla zwierząt: mieć zmiażdżoną łapę, stracić potomstwo, być pożartym lub zastrzelonym, to jest katastrofa katastrof dla kota, dla psa, dla zająca. Takie sprawy lub im podobne czynić złem ostatecznym człowieka, uważać że niema rzeczy tak wielkiej, któraby je równoważyła i dla którejby się w ogólnym bilansie opłaciła nadwyżka cierpienia, to traktowanie człowieka narówni właśnie z kotem, psem czy zającem. A oto — w niczem zwierząt nie krzywdząc — znaczy zapominać, że człowiek ma interesy swoje, i że gdyby ów przed chwilę wspomniany bilans miał dla całej sumy ludzkich żywotów, być na wiek wieków ujemny, to żywoty te mogłyby jeszcze mieć jakąś inną swą wartość, niewspółmierną z tą ich całą niedolą. Kto temu zaprzecza, niszczy sens życia: myślę, że wśród pacyfistów Zachodu zaprzecza temu nie tylko Russell, ten dziś beznadziejny już hedonista, ale mniej lub więcej świadomie większość ideologów i masa. Zupełnie inaczej z ahimsą. Wyznawca jej cierpieniu współczuje, i współczucie to ma na niego wpływ czynny; sam Gandhi częściowo zmienił swą linię, gdy w postaci głodu w Orissie poznał z własnego widzenia zwykłą, żywiołową, pierwotną, brutalną ludzką klęskę fizyczną. Ale mimo to wie się tu dobrze, że tylko wobec zwierzęcia współczucie jest alfą i omegą etyki: wobec człowieka jest tylko naturalnym i dość łatwym początkiem. To też zna się tu i pielęgnuje dobra, które warto kupić cierpieniem, — co więcej: które można kupić tylko cierpieniem. I wziąć na siebie cierpienie, by owe dobra osiągnąć, to tutaj część nie tylko własnej godności: mój bliźni ma święte prawo, bym i jego wczwał do współcierpienia, jeśli tego cel sensowny wymaga. Tak więc jak lęk przed cierpieniem dla siebie, tak i naga chęć oszczędzenia go drugim nie może być główną racją ahimsy tam gdzie jej przedmiotem jest człowiek. Racja ta musi być w związku z jakąś sprawą wyższej natury; z jakimś dobrem, którego utrata jest czymś od cierpienia dużo groźniejszym. Nie roszczę sobie pretensji, bym ten trudny punkt zrozumiał dokładnie; moje podejrzenie jasne ujęcie i racjonalizuje i z całą pewnością uboży myśl tego wielkiego, choć nie kontemplacyjnego, mistyka; oto jednak próba interpretacji, która mogłaby mojemu zdaniem służyć za szczebel do lepszych sformułowań w przyszłości.

Dobrem, o które chodzi w ahimsie, jest coś co Gandhi w swoim języku nazywa „prawdą”; „gwałt i fałsz”, „bezgwałt i prawda”, to są zestawienia wyrazów dla jego odczuwania znamienne. Ta „prawda”, cel i szczyt jego dążeń, o którą się całe życie ubiegał, nie jest czymś dla intelektu łatwo uchwytnym; poza słowem utarłym i pospolitem czuć tu cały gąszcz intuicji. Ale między innymi chodzi tu także o „prawdę” w rzeczach moralnych, w szczególności o prawdziwość sądów wydanych w przedmiocie tego co słuszne; w dalszej zaś konsekwencji o to, do czego się przez te sądy dociera: o słusność samą. Gandhi nie jest relatywistą moralnym; wierzy, że w sprawach słusności dla jednej sytuacji prawda jest jedna, i że przy odpowiednim wysiłku można do tej prawdy się zbliżyć. Czy jest w tem oryginalny albo specyficznie indyjski. Nie; u nas też, mimo rozrostu i triumfów relatywizmu, wyznają tę samą wiarę setki teoretyków-rezonerów, a ludzi prostych miliony; osobliwość jednak Gandhiego, jak tyłu genjuszów etycznych, tkwi w tem, że swą wiarę bierze na serio, ma ją zawsze jednakowo przytomną, wie do czego obowiązuje, i za swe powołanie uważa być jej posłusznym w swych czynach. Jeśli zaś jest coś takiego jak prawda w rzeczach moralnych, to poszukiwanie tej prawdy staje się powinnością główną człowieka; jeśli jest coś takiego jak słusność, to gdziekolwiek i w jakichkolwiek warunkach dwie jednostki czy zbiorowości znajdują

się w sporze, obowiązkiem każdej z osobna jest starać się słusność tę poznać, poznanie to udostępnić stronie przeciwnej i wspólnie według niego postąpić. Poznaje się słusność wysiłkiem myśli, popartym odpowiednią ascezą; poznanie udostępnić przeciwnikowi można czy to przez spokojną dyskusję, czy to, gdy dyskusja zawodzi, przez niezłomne wcielanie jej w życie w granicach swej możliwości fizycznej i kosztami ofiary z siebie samego. Kto, nie wypróbawszy tych środków, umie uciec się tylko do gwałtu, ten i sam szukania prawdy się zrzeka i przeciwnika, zmuszonego do samoobrony, od jej szukania odwołuje i czyni ni wszystko co może, by zwyciężyła nie prawda, ale czyjś ograniczony interes; w ten sposób sprzeniewierza się prawdzie, i grzech jego jest bliźniaczko podobny do grzechu fałszu. Nie godzi się zwyciężać wojen, bo to kładzie chmury przed słońce

prawdy, oto bodaj że ostateczna, tak różna od europejskiej, motywacja „pacyfizmu” Gandhiego. Nie godzi się i niema potrzeby, bo kto poznał prawdę i słusność, posiadał siłę, której nikt się nie oprze, jeśli on sam jest dość mężny by jej chcieć użyć. Gdyby się jej przecież oparto, wtedy można naby, w imię Boże, w służbie dobrej sprawy sięgnąć po oręż. Ale Gandhi wierzy wiarą przodków, że niema opoki tak twardej, człowieczeństwa tak skamieniałego, któreby się nie roztopiły w ogniu takich pełnych miłości i nieustępliwych ataków, duszy, któraby w końcu nie zmięknęła, widząc jak druga dusza „trzyma się prawdy” bohatercko i wbrew wszelkiej pokusie. Wiara to jedna z tych, w których tak łatwo dopatrywać się arbitralnej woli wierzenia; — ale też prawdopodobnie jedna z takich, które wydobywają z człowieka siły nieznanne i nowe, i w miarę dokonywania się ofiar powoli swój przedmiot stwarzają.

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

SPÓD PYŁU ZAPOMNIENIA*)

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

II.

W jednym z przytoczonych wyżej listów obiecywał Nadieżdin „dołączyć” do artykułu Piłsudskiego „przypisek redakcji”, w którym potępił miano „oburzające postępowanie carskiego rządu, prześladowającego w imię (sic) narodu rosyjskiego narodowość polską”. I obietnicy tej dotrzymał, w zgola innej jednak formie — zamiast krótkiego „przypisku redakcji” umieszczono na czele drugiego zeszytu „Swobody” obszerny, trzynastronicowy artykuł p. t. „Oprawcy narodowości” („Palaczy nad nacjonalnościami”).

Spotykamy się tu przede wszystkim z przekonaniem, że żadna jednostka zbiorowa nie ma prawa wdierać się gwałtem w życie innej zbiorowości; każda próba zamachu na samodzielność narodową, każda próba zgniecenia przejawów woli innej jednostki — jest wyraźnym „zwrotem w kierunku epoki barbarzyństwa”, jest „policzkiem, wymierzonym ludzkości”. Co gorsza, w nikczemnym procesie gnębienia narodów podbitych — na ustach kata, szwiczającego knutem, zawisa imię — rosyjskiego narodu: „W naszym imieniu — podkreśla „Swoboda” — dopuszczają się carowie wszelkich nikczemności, nas stawiają na stopniach katowskiego rusztowania! Narodkat!... „Jak długo w Rosji istnieć będzie tron cara samodzielnawcy, jak długo my nie będziemy mieli żadnego głosu w rządzeniu krajem, tak długo będziemy narodem-katem, nie z własnej woli, ale dlatego, że robi nas takim władza carska. Ale walczymy z nią — z tą władzą, dążymy do zrzucenia tego szkodliwego pasożyta z ciała Rosji, i — być może — niedaleki już jest ten dzień, kiedy nasza walka uwięczona zostanie powodem, nie — wówczas odpowiedzialność za (dalszy) ucisk narodowości spadnie na nas. Będziemy musieli albo przejąć dziedzictwo władzy carskiej — ucisk woli i swobody narodowości, to znaczy stać się z własnej już chęci narodem — katem, albo musimy — z szacunku dla siebie samych, dla swego honoru — wyrzec się tego haniebnego i przekłętęgo dziedzictwa”.

„Sto lat temu — czytamy — Polska istniała jeszcze jako państwo samodzielne. Narodowi, pełnemu życia, pełnemu siły, narodowi, nie tylko nie chylącemu się do upadku (?), ale poczynającemu (?) rozwijać swe bogate zdolności i przekształcać swój ustrój państwowy — zbrojna ręka silnych sąsiadów rozbiła formę jego życia państwowego. Rozdarło Polskę na szmaty. Obecnie Polacy są podzieleni między Rosję, Austrię i Niemcy. Podzieleni niby rzecz jakaś. Gorycz głębokiej krzywdy, gorycz płynąca z ciężkiego znieważenia woli narodu, dotąd przepelnia duszę każdego Polaka, dotąd namiętna miłość ojczyzny jest u niego ściśle związana z niezłomnym pragnieniem wywalczenia sobie nanowo niezależności, utworzenia z obszarów o rdzennie polskiej ludności, cierpiącej, obecnie w jarzmie Rosji, Austrii i Niemiec, samodzielnej Republiki Polskiej. Żądaniem „naszej” „rosyjskiej” Polski jest całkowite oddzielenie się od Rosji. Taka jest wola tego narodu —

*) Pierwsza część artykułu w nrze 12 „Pionu”.

zarówno szczytów jego, jak i dolów. Jak jednak traktować będzie i jak traktować winien żądanie to robotnik rosyjski? Na takie pytanie jest jedyna odpowiedź — gwałcić nie zawaha się zdeptać woli narodu, walczący o wolność musi traktować tę wolę z największym szacunkiem i uznaniem. Polska — któż to powiedział, że jest ona „nasza”? Ten, kto uzurpuje prawo panowania człowieka nad człowiekiem, kto w stosunku do człowieka uznaje prawo własności. W celu podbicia Polski przelano strumienie naszej chłopskiej krwi. Polska — to cmentarz, gdzie spoczywają nasi dziadowie i pradziadowie. Czy jednak z faktu tego wyrostać może prawo własności? Krew przelana jest tylko miernikiem niewoli, w której pozostawali nasi przodkowie, gdy szli na rozkaz carski podbijać i ujarzmić wszystko — bez względu na wymagania sprawiedliwości. Każdy, kto powie o Polsce, że jest „nasza”, ten przez to i o sobie powie, że jest nie „swój”, lecz „czyjś”, — parobek gwałcicieli, używających jego — parobczańskiej — pięści do wykukwania kajdan dla wolności, prawdy, sprawiedliwości... Zresztą, czy oderwanie Polski od Rosji znaczy to samo, co rozdarcie ciała Rosji? Polskę przecież gwałtem przyłączono do tego ciała, jest tu ona „dzikiem mięsem”, nie mając nic wspólnego z życiem całego organizmu. Złączyły ją z Rosją pęki naszych żołnierzy, armie naszych urzędników... I czyż robotnik, walczący z wszelkimi przejawami gwałtu, powtórzy „nasza” wślad za tymi, co się przyzwyczaili kielznać człowieka, jak jakie bydło, co się przyzwyczaili w rządzeniu światem posługiwać się brutalną siłą fizyczną?..

„...Nie mamy wątpliwości — odpowiada „Swoboda”, — że świadomi robotnicy, wole polskiego narodu będą traktowali z całym szacunkiem... Ale większość nas, Rosjan, jest jeszcze za mało uświadomiona, mózg jej jest zamglony nikczemnym hurra patryotyzmem jakiejś szmaty w rodzaju gazety „Swiet”, głoszącej szczucie narodowości... I iluż to walczących o wolność uważa żądania Polaków za szkodliwe dla interesów „naszego” państwa, za złośliwą zdradę Rosji!... Nie możemy zamykać oczu na to — i dlatego właśnie, że wiemy o niewysokim poziomie uświadomienia wielu z nas, uważamy za konieczne postawić kwestję otwarcie i wyraźnie. Co będzie — jeśli Polacy żądają dla siebie niezależności, a ciemne siły życia rosyjskiego — odwołują się do „patryotyzmu” robotników rosyjskich i zacząć szczerze ich przeciwko „zdrajcy-Polakowi”? Czyżby głosy tych ciemnych sił wywołały — jako odpowiedź — okrzyk narodu rosyjskiego: krwi polskiej, krwi! ogniem i mieczem na nich! I tłumy nieświadomionego ludu ruszą mordować Polaków? Za co? W imię czego? Za to, że Polacy pragną wolności, w imię tego, aby poddać (?) ich niewoli i gwałtowi!... Naszym największym obowiązkiem jest przyczynianie się do wyjaśnienia kwestyj narodowościowych w Rosji i oświeclania tych kwestyj bez zatajenia czegokolwiek przed niedostatecznie uświadomionymi z obawy n.p. że niektórzy z nich nazwą takie otwarte uznanie sprawiedliwych żądań Polski zdradą Rosji. Przeciwnie, im więcej będzie ludzi, którzy użyją wyrazu „zdrada”, tem silniej

tem bardziej uparcie rozwijać musimy swoją myśl... W ciągu wieków gwałtu i nikczemnej polityki carów rosyjskich zaszczerpiali się ludowi uczucia, wyrażające się w braku szacunku dla innych narodowości, zaszczerpiali się dzięki, brutalne pojęcie o prawie. Czas najwyższy, ażeby to znikło! Zbliżają się nowe wieki — nie kalania dusz ludu brudem gwalcicieli, lecz oczyszczania jej z tego brudu, rozwinięcia w niej wszystkich elementów wzniosłości i szlachetności, do jakiej zdolny jest człowiek. Naszym obowiązkiem jest wzięcie jak najenergiczniejszego udziału w tej nowej pracy (dla?) wieków — wrazie wybuchu wśród ludu anty-narodowościowych ruchów na każdego z nas spadnie część odpowiedzialności, jeśli obecnie z jakiegokolwiek powodu będziemy się obawiali wyjaśnić naszym mało uświadomionym towarzyszom, że każdy naród ma pełnię praw do stanowienia o swym losie i — jeśli wyraża wolę oddzielenia się od państwa, do którego przytwierdzony jest mieczem zaborcy, to wola ta musi być święcie spełniona!..

„Musimy się wstydić tylko przeszłości — kończy „Swoboda” — przyszłość zaś należy do nas; od nas zależy budowa tej przyszłości, budowa taka, by rumieniec wstydzie nie palil twarzy robotników uświadomionych, umiejących szanować godność wszystkich ludzi! My zbudujemy taką przyszłość, towarzysze!”..

Obok takiego tedy wyznania wiary ukazał się w „Swobodzie” artykuł J. Piłsudskiego. Tytuł jego zaopatrzyła redakcja w następujący dopisek w odsyłaczu: „Artykuł ten napisany został dla „Swobody” przez jednego z najwybitniejszych rewolucjonistów polskich — towarzysza Piłsudskiego, byłego redaktora polskiego pisma „Robotnik”. Przesłano nam ten artykuł w odpowiedzi na skierowaną przez nas do Polskiej Partji Socjalistycznej prośbę naszą o dostarczenie dla „Swobody” ogólnego zarysu dzisiejszego stosunku rosyjskiego rządu carskiego do Polski. Umieszczamy ten artykuł z uczuciem głębokiego zadowolenia nie, tylko dlatego, że występuje tu w całej swej nagości groza i hańba carskich rządów w Polsce, lecz także i dlatego, że jest nam drogą ten szczerze przyjacielski oddźwięk, jakim odpowiedziała Partja na naszą prośbę. Oddźwięk ten tudzież gotowość towarzysza Piłsudskiego do ogłaszania prac w następnych numerach „Swobody”, w celu rozwinięcia i dopełnienia myśli, wypowiedzianych w artykule drukowanym obecnie, — zmuszają nas do wyrażenia szczerych życzeń, by socjaliści rosyjscy odnosili się do polskich zawsze równie ciepło i serdecznie, jak Polska Partja Socjalistyczna odniosła się do nas. Zgoda i przyjaźń, wobec wspólności naszych zadań, jest sprawą wielkiej wagi. Jesteśmy głęboko przekonani, że niedaleki już jest dzień, kiedy partje socjalistyczne Polski i Rosji zawrą ze sobą trwałą sojusz dla walki z samowładztwem carskiem. Redakcja „Swobody”.

Artykuł Józefa Piłsudskiego napisany przez autora po polsku, przetłumaczony został przez redakcję „Swobody” na język rosyjski. Tu przytaczam go w dosłownym przekładzie własnym z rosyjskiego.

JÓZEF PIŁSUDSKI

SAMOWŁADCZY GOSPODARZE POLSKI

Sto lat temu mocarstwa sąsiednie gwałtem zniszczyły byt niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej — w wyniku tych wypadków wielka część Polski została przyłączona do Rosji, do państwa, rządzącego się na zgoła innych zasadach, streszczających się w określeniu — samowładztwo carskie.

Nowi gospodarze zniszczyli przede wszystkim konstytucję polską t. zn. ustawy o swobodach konstytucyjnych, przywilejach i prawach obywateli do udziału w rządzeniu państwem*). Cprawda, konstytucja ta, tak samo, jak wszystkie współczesne konstytucje europejskie, nadawała zbyt mało praw calemu narodowi — udział w rządzeniu krajem brać mogła tylko szlachta, stanowiąca zaledwie ósmą część ludności. W ciągu ostatnich jednak lat istnienia Rzeczypospolitej Polskiej, pod wpływem rewolucji francuskiej, przedsięwzięto próby rozszerzenia konstytucji w sensie nadania prawa do udziału w rządzeniu Polsce innym warstwom społecznym oraz próby zmniejszenia ciężaru (w oryginalnie — gniot, ucisk) pańszczyźnianej zależności włościan.

Z chwilą przyłączenia Polski do Rosji próby te — rzecz jasna — nie mogły być kontynuowane — w kraju podbitym ustać musiała wszelka działalność polityczna; co więcej — język polski, religia, zwyczaj i obyczaj, wszystko ulec musiało najrozmaitszym prześladowaniom — aby czasem przestać być polskimi.

Jest rzeczą zrozumiałą, że Polacy nigdy nie mogli czuć się dobrze w warunkach narzuconych im siłą. Uczucia ich — to uczucia człowieka, na którego domostwo dokonano zbójczego napadu.

Cała historia narodu polskiego — zarówno w stuleciu ubiegłym, jak i teraz — to historia najbardziej dzikiej samowoli i ucisku z jednej, a bohaterkiej walki z drugiej strony. Każde pokolenie wytężyło swe siły, żeby się uwolnić od ciężkiego i hańbiącego jarzma. Powstania polskie wybuchaly jedno za drugim — dzieliły je jedynie lata uporczywej pracy przygotowawczej. Ostatnie z tych powstań, najkrwawsze i najbardziej bohaterkie — powstanie 1863 roku, trwało dwa lata.

Zadane jednak z tych powstań nie zostało uwięzione powodzeniem. Lud pracujący w Polsce — z braku uświadomienia narodowego — brał zbyt nieznaczny udział w ruchu, wszczętym i prowadzonym głównie przez warstwę wykształconę; z drugiej strony bezdenne dla cara źródłem sił do tępienia powstań polskich była ciemnota rosyjskiego narodu. Bezsilność rewolucji polskiej i moc rosyjskiego samowładztwa wyływały z jednego źródła — zbyt niskiego poziomu rozwoju obydwóch narodów.

Po każdym powstaniu, stłumionem z niewiarogodnym okrucieństwem, przychodziły nowe, jeszcze cięższe prześladowania Polaków. Przybrały one znacznie na sile po r. 1863 — carowie nie żalowali największego napięcia energii, aby tylko usunąć z Polski ducha polskiego i przekształcić w niej wszystko na „rosyjskie”.

Nie mamy tu możności zastanawiać się nad tem, jak w ciągu wieku posuwała się w tym kierunku praca rządu — będziemy mówili tu tylko o dniu dzisiejszym.

Cała polityka rządu rosyjskiego w Polsce tak samo zresztą, jak i na innych kresach państwa rosyjskiego, przesiąknięta jest całkowicie tendencjami rusyfikacyjnymi. Inne słowa — polega ona na tem, że się stwarza w kraju nową klasę uprzywilejowaną — „prawosławnych Rosjan” i wszystko, co jest rosyjskie otacza się specjalną opieką rządu, wszystko zaś, co polskie, jak już mieliśmy sposobność nadmienić, wdępuje się w błoto, ponieważ się i plugawi, skazuje się na najbardziej dzikie, okrutne i bezsensowne prześladowania.

*) Zdanie to redakcja „Swobody” zaopatrzyła w przypisek, mówiący o konstytucji, nadanej Polsce przez Aleksandra I, tudzież o stosunku w. ks. Konstantego do sejmu polskiego.

Wzemy dla przykładu *) jakakolwiek kolej żelazną. Z chwilą, gdy przechodzi ona w ręce rządu, wszyscy pracownicy — Polacy tracą posady, ustępując miejsca Rosjanom — nawet stróżowie stacyjni i zwrotniczoście. Język polski usuwa się zewsząd — wszystkie napisy na budynkach stacyjnych, w wagonach, wszystkie obwieszczenia muszą być napisane w języku, niezrozumiałym dla większości ludności — większość nie zna przecież języka rosyjskiego. Jeśli na stacjach niższych konduktorów, maszynistów i t. p. — częściowo są jeszcze Polacy, to zabrania się im mówić po polsku nawet ze sobą. Doszło już do tego, że istnieją na kolejach rozkazy, zabraniające urzędnikom „rozumieć po polsku”, t. zn. odpowiadać na jakiegokolwiek pytania, zadane przez podróżujących w języku polskim.

Rząd, oczywiście, nie może osiągnąć swoich celów — i język polski daje się słyszeć wszędzie: nie można bowiem zniszczyć język siłą policyjną, ukrać go rękoma gorliwych urzędników, którzy rabowali i rabują Polskę bez najmniejszych wyrzutów sumienia...

Fakty takiego rabunku można zbierać w nieograniczonych ilościach...

Tuż przed ostatnim podziałem Polski zaczęli się Polacy szczególnie troszczyć o oświatę ludową. Olbrzymie dobra, należące do duchowieństwa, zabrało państwo z tem, by przeznaczyć je na oświatę. Oprócz tego wielu zamożnych ludzi, pod wpływem panującej mody, częstokroć jednak także pod wpływem dobrych uczuć — zakładali olbrzymie biblioteki, ofiarowywali pieniądze na stypendja dla niezamożnej kształcącej się młodzieży.

Rząd carski w sposób sobie właściwy zdecydował o losie tych pieniędzy i tego majątku. W czasie wojny z Polakami, jak również w czasie powstań biblioteki i muzea zostały rozchwypane, zrabowane lub też wywiezione do Rosji — (największych użyto na założenie Biblioteki Publicznej w Petersburgu). Środki pieniężne przeznaczone na szkoły, rząd zabrał dla siebie i wydaje teraz na budowę nikomu niepotrzebnych cerkwi prawosławnych i klasztorów — w miejscowościach, gdzie niema ludzi wyznania prawosławnego! — na krzewienie prawosławia w narodzie, który w miarę swych sił, jak tylko może — broni się przed tym gwałtem. Stypendja polskie zaś są albo rozkradane, albo też przyznawane synom urzędników, przyczem głównym warunkiem uzyskania ich nie jest postęp w nauce czy ubóstwo rodziców, lecz — wyznanie prawosławne i przywiązanie do domu carskiego.

Urzędnicy — bez względu na rodzaj i charakter ich ciemnych spraw — mają za pewniczoną najzupełniejszą bezkarność; wszelkie nadużycia, nawet najbardziej krzyżące zbrodnie kryminalne nie pociągają przykrych następstw dla tych panów — kruk krুকowi oka nie wydziobi!

Jaskrawy pod tym względem wypadek zdarzył się w ostatnich czasach w Warszawie. Sądzonego profesora uniwersytetu warszawskiego Ziencę. Jegomość ten nie ukończył nawet uniwersytetu — (w czasie wojny tureckiej

*) J. Piłsudski w liście z 8 kwietnia 1902 r. odsyłając do Genewy „korektę z poprawkami”, rekonstruuje pierwotny tekst artykułu (redakcja pozwoliła sobie bowiem na jakieś poprawki czy skreślenia) pisze: „Niepodobna zaczynać od „Woźmiom dla primiera” i t. d., musi być przedtem jakiś ogólny wstęp, który później ten przykład tłumaczy, po wypuszczeniu przez was tego kawałka, który wyjaśniał politykę rządową, jako chęć wciągnięcia do „rusyfikacji” i zainteresowania nią możliwie szerokiej sfery Rosjan, artykuł się rozpoczyna ogromnie dziwnie; sądzę, że przeciwko ustępowi, pomieszczonemu na odwrotnej stronie 17 str. (odbitki szczerkowej), pisanem po polsku, nie już mieć nie będziecie, nie mówi o bowiem nic o udziale społeczeństwa rosyjskiego w tej polityce i nie zaczepia żadnej grupy rewolucyjnej. Pomieścić więc go proszę przed „Woźmiom dla primiera”.

jeszcze przed ukończeniem studiów zamiano wano go lekarzem) — mimo to uzyskał stanowisko profesora w Warszawie. Przedtem był on dyrektorem zakładu dla dzieci głuchoniemych — musiano pana dyrektora usunąć z tego stanowiska, ponieważ zgwałcił kilka swych nieletnich wychowanc (12 lat), a zachowaniem się swoim budził w nieszczęśliwych kalekach przerażenie bezgraniczne.

Nie przeszkodziło to jednak panu Ziencowi w uzyskaniu stanowiska profesora i kierownika oddziału w głównym szpitalu warszawskim. Nie omieszkał on i tu wykazać swych bydlęcych namiętności — próbował mianowicie gwałcić chore kobiety — wreszcie jedna z nich zrobiła awanturę, tak, że profesora schwytano na miejscu zbrodni. Próbowano z początku sprawę zatuzować, studenci jednak rozdmuchali ją, w sposób kategoryczny odmawiając dalszego uczęszczania na wykłady profesora.

Ziencę musiał pójść do dymisji; nie można było również nie wytoczyć mu sprawy sądowej. Na ławie oskarżonych Ziencę udowadniał, że zgubiła go „polska intryga” i buntujący się studenci, wrogo do niego, jako Rosjanina, usposobieni. I mimo to, że usiłowanie zgwałcenia chorej kobiety było faktem zupełnie dowiedzonym, Izba Sądowna wydała wyrok uniewinniający, chociaż pierwotnie wyrok sądu Okręgowego skazywał profesora na dwa lata więzienia*).

Faktów, jeśli nie takich samych, to należących do tejże kategorii, mieć możemy w Polsce podostatkiem. Widzieliśmy przecież i gubernatora w kompanji koniokradów (Iwanienko w Kielcach), i policmajstra, u którego znaleziono zegarek, ukradziony koniusz przez złodziei kieszonek, mamy mnóstwo innych dobrodziejstw, jakimi Rosja obdarza Polskę. Rzecz jasna, i w rdznej Rosji rozszuchwani urzędnicy najmniej podobni są do aniołów, i tam również na każdym kroku panuje samowola, łapownictwo i gwałt. Ale w Polsce bezkarna samowola urzędników, niezwykle starannie zwracających uwagę na takie przejawy życia, jak język i religia, znacznie głębiej wżera się we wszystkie pory**) istnienia ludzkiego, w dodatku zaś zgryza rabusiów, pędząc dni swoje w kraju podbitym i wrogo do nich usposobionym, trzymają się w gronie bardziej zwartym, zapewniając przeto sobie wyższy stopień bezkarności, niż w Rosji.

Wystarczy, gdy powiemy tu, że nawet jeden z warszawskich generał-gubernatorów, książę Imeretyński, hałastrze urzędniczej w Polsce wystawił świadectwo następujące: „Już od pierwszej chwili służby swojej w Królestwie Polskiem urzędnik rosyjski — nawiół wykształcony, niezbyt rozumny i źle wychowany, w każdym Polaku widzi przede wszystkim zwyciężonego wprawdzie, lecz najgorszego zato wroga państwa i wroga swego osobistego. Na siebie zaś patrzy, jak na zwycięzcę, i zgodnie z przysłowiem — „zwycięzcy sądowi nie podlegają” — uważa się za niepodlegającego żadnej kontroli i nie liczy się najzupełniej nie tylko z opinią społeczną, lecz także i z własnym sumieniem”.

Łatwo wyobrazić sobie można, ile to nadużyć i gwałtów kryje się za temi słowami: „zwycięzcy sądowi nie podlegają”!...

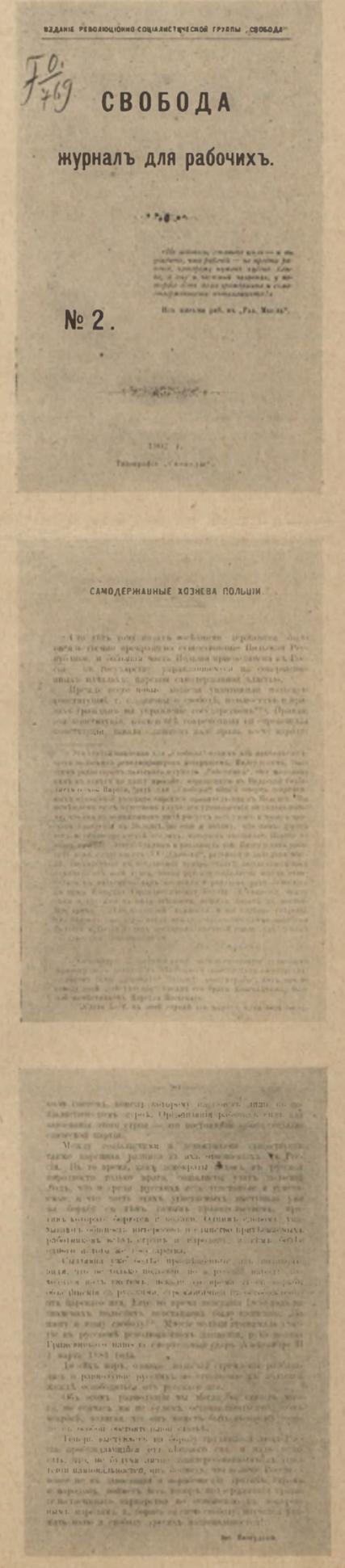
Ciężar podatkowy w Polsce jest bez porównania większy, niż w Rosji nawet, gdzie ludność ugina się pod ciężarem olbrzy,

*) Ostatnie zdanie redakcja „Swobody” zaopatrzyła w odsyłacz w następujący przypisek: „Przypominamy sobie, że w sprawozdaniach sądowych prasy zagranicznej (krakowskiej) powtarzano fakt taki: wezwana w charakterze świadka dozorczyń zakładu dla głuchoniemych, Rosjanka z pochodzenia, zeznała, że Ziencę wielokrotnie gwałcił dziewczynki, wszystkie one jednak były wyznania katolickiego. Wreszcie pan profesor pokusił się o zgwałcenie prawosławnej. Dopiero ten ostatni fakt oburzył prawosławne serce dozorczyń...”

**) w znaczeniu otworów gruczołów potowych.

mich obowiązków. Obliczono, naprzykład, że podatki, wpłacane do kas rządowych przez rolników — obywateli ziemskich i włościan — Polaków z pochodzenia są czterokrotnie większe od tych samych podatków, wpłacanych przez Rosjan. Na co jednak trwoni się pieniądze, ściągane z ludności?

Główne wydatki rządu rosyjskiego — to wydatki na wojsko. W Polsce rozlokowano więcej niż połowę całej armji rosyjskiej, gdy tymczasem ludność Polski stanowi zaledwie ósmą część ludności całego państwa. Poza tem gubernje i powiaty polskie są znacznie mniejsze od gubernij i powiatów rosyjskich, horda zaś urzędnicza w powiecie pol-



skim jest liczniejsza, niż w rosyjskim. Dlatego też wydatki rządu w Polsce muszą być olbrzymie.

Zdawałoby się wobec tego, że rządowi nie starczy podatków, wyciśniętych z Polski, że będzie on zmuszony dodawać tu pieniądze, zebrane w innych częściach państwa, gdzie wydatki stosunkowo nie są wielkie. Ale, niestety! Obliczono, że pieniądze, wyduszonych z Polaków, starcza w zupełności na pokrycie wydatków w ich kraju, wydatków stosunkowo znacznie większych, niż w rdzennej Rosji. Co więcej — rząd zużywa tu rocznie ze swej rabunkowej gospodarki około 30 milionów rubli, z których korzystać może w innych dzielnicach — chociażby w celu tłumienia ruchów wolnościowych.

Jak się to dzieje? Prosta na to odpowiedź — jeśli z ogromu zła, wyrządzonego ludowi przez cara i jego pełnych pochlebstw serwilistów. Polakom przypada w udziale ciężar znaczny, jakgdyby dodatkowy, to z drugiej strony z tego, co rząd z musu sobi w zakresie codziennych potrzeb ludności, Polacy otrzymują mniej niż Rosjanie. Weźmy dla przykładu szkoły. Przed przyłączeniem do Rosji, Polska posiadała szkół około dziesięciu razy tyle, co Rosja; Polska w zakresie oświaty szkolnej niewiele się różniła od państw zachodnio-europejskich, niektóre zaś z tych państw pod tym względem przewyższała. Dzika jednak wola carskiego rządu zmieniła stosunek ten znacznie na niekorzyść Polski. Wystarczy, gdy się powie tu, że właśnie w ciągu ostatnich lat trzydziestu, wyróżniających się w dziejach najszybszym wzrostem oświaty na całym świecie, liczba szkół w pewnych częściach Polski wcale nie wzrosła, w innych zaś zmniejszyła się nawet. W r. 1867 w Królestwie Polskim jedna szkoła wypadła na 2827 mieszkańców, w roku zaś 1893 — na 2524 mieszkańców, czyli stosunek nie uległ prawie żadnej zmianie. Na Litwie zato ilość szkół zmniejszyła się w porównaniu ze stanem z r. 1820! Gdybyśmy świat cały przeszli wzdluż i w szerz, nie znaleźlibyśmy ani jednego kraju, nie spotkalibyśmy ani piędzi ziemi, gdzieby w ubiegłym stuleciu zdarzyć się mogło coś równie potwornego!... I hańba ta spaść musi całkowicie na cara i na tych wszystkich, którzy pomagali mu rabować i uciskać kraj podbity, bez względu na to, czy ulegali tu bezinteresownym tęsknotom swej podłej natury, czy też kierowali się myślą o korzyściach, jakie z takiej pomocy wypłynąć mogą.

Ale i istniejące szkoły przynoszą mało korzyści, nauczanie bowiem odbywa się w języku rosyjskim, z którym dzieci w nader ciężkich wypadkach spotykają się poraz pierwszy właśnie w szkole. Proszę sobie wyobrazić, że w szkole ludowej w moskiewskiej naprzykład guberni zaczęto uczyć dzieci w języku niemieckim, — łatwo wówczas można będzie zrozumieć, ile jest sensu w takiej metodzie nauczania. Wiele dzieci w takiej szkole nie nauczy się niczego, inni zaczęli rozumieć cokolwiek, będą nawet umiali czytać i pisać po niemiecku; po paru jednak latach wszystko to zatrze się w pamięci prosto dla braku niemieckiego otoczenia — wychowanek szkoły będzie takim samym nieukiem, jakim był przed wstąpieniem do szkoły.

Nie więc dziwnego niema w tem, że ludność polska ucieka od szkół rosyjskich. W guberni kowieńskiej, naprzykład, właścianie nierzadko płacą nauczycielowi, aby tylko nie uczył dzieci, aby siedział sobie i ogryzał paznokcie w pustej szkole.

Ze swej strony jednak ludność stara się wypełnić braki wykształcenia w szkole nauczaniem dzieci poza szkołą. Rzecz jasna, nie może to podobać się opiekunom rządowi i dlatego w całej Polsce obowiązuje zakaz nauczania dzieci bez specjalnego pozwolenia władzy. Nauczanie poza szkołą — nawet w wypadku ograniczenia go do nauki czytania i pisania — prześladowane jest przez rząd, jak zbrodnia. Schwytanych na popelnianiu takiej „zbrodni“ zamyka się w więzieniu lub też skazuje się na wielkie karv pieniężne.

A więc, wydatki rządu na oświatę ludową są bardzo nieznaczne. Ale być może — zabiega on zato o organizowanie w Polsce szlaków komunikacyjnych, być może — buduje koleje żelazne i gościńce i przynajmniej w ten sposób wraca uciskanemu naro-

dowi jeśli nie wszystkie, to w najgorszym razie część zrabowanych pieniędzy?

W przeszłości, w okresie, poprzedzającym dzisiejszą falę znacznie wzmocnionych przesładowań Polaków, wybudowano w Polsce przy użyciu polskich kapitałów kilka kolei żelaznych — zgodnie z potrzebami i wymaganiem przemysłu. Wszystkie zaś nowe koleje, wybudowane przez rząd, — są kolejami strategicznymi t. zn. budowanymi zgodnie ze specjalnymi celami wojennymi. Rząd przy budowie tych kolei zupełnie nie liczył się z potrzebami ludności; świadczy o tem fakt, że wszystkie te koleje zbudowano na prawym brzegu Wisły, gdzie — w porównaniu z innymi polaciami kraju — przemysł jest słabiej rozwinięty i gdzie mniejsza jest gęstość zaludnienia; budowano te koleje w dodatku tak, że w biegu swym trzymają się linii fortec i koszar, starannie unikając miast i osad fabrycznych. Na lewym zaś brzegu Wisły, gdzie skupiają się ogromne ośrodki przemysłu, na przestrzeni, która pod względem gęstości zaludnienia zajmuje pierwsze miejsce w całym państwie rosyjskim, i gdzie wskutek tego daje się odczuć potrzeba dobrze rozplanowanych dróg komunikacyjnych, — rząd nietylko nie buduje sam, lecz także zabrania prywatnym osobom i towarzystwom zaspokoić te najbardziej żywotne wymagania przemysłu.

Kiedyś, jakgdyby dla zilustrowania stosunku rządu rosyjskiego do Polaków, w rządowej gazecie piększyli się obok siebie dwie wiadomości. Jedna dotyczyła budowy kolei żelaznej we Wschodniej Rosji. Towarzystwo, zabiegające o koncesję, żądało od władz zagwarantowania mu 5 proc. od kapitału i żądanie swe uzasadniało i usprawiedliwiała ryzykownym charakterem przedsięwzięcia: mogło ono nie dać żadnych dochodów; rząd carski zgodził się na te warunki i udzielił pozwolenia na budowę kolei. W drugiej wiadomości przytoczono prośbę grupy kapitalistów, chcących budować kolej w Polsce; nie żądali oni od władz zagwarantowania procentów, przeciwnie — zobowiązali się wpłacić rządowi po kilkadziesiąt rubli za każdą wiorstę bezzwłocznie po uzyskaniu pozwolenia, a więc przed przystąpieniem do budowy tej drogi; z chwilą otwarcia ruchu pociągów godzili się kapitałiści dzielić się z rządem dochodami. A jednak... rząd pozwolenia na budowę nie udzielił. Nawet gościńce, odziedziczone przez rząd carski po dawnym rządzie polskim, utrzymywane są tak źle, że często jazda nimi jest prosto niemożliwością. Czyż trzeba tu wyjaśniać, że rząd robi to wszystko nie z nienawiści i niechęci do polskich kapitalistów, a ze strachu, by drogą stworzenia wygodnych życiowych nie dać czasem nowych sił silnemu już i bez tego wrogowi caratu — polskiej klasie robotniczej.

Wobec takiego stanu rzeczy nie należy się dziwić, że rząd, wydając tak mało na potrzeby Polaków, może miliony, wyciśnięte z nich, wyrzucać na utrzymanie połowy armji rosyjskiej, stojącej w Polsce, może opłacać całą sforę rosyjskich urzędników, którzy za służbę swoją otrzymują w Polsce wynagrodzenie znacznie większe, niż urzędnicy w innych częściach państwa. Nie dziwi nas i to, że rząd zarabia tu jeszcze kilkadziesiąt milionów rubli! Zarabia więcej, niż wydaje na oświatę ludową w całym imperjum!...

Tak, drogo opłacać muszą Polacy knut rządów carskich!...

Wspominaliśmy już wyżej, że Polacy prowadzą bezustanną walkę z rządem carskim.

Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że w różnych warstwach narodu polskiego różnie pojmuje się tę walkę — w Polsce, jak wszędzie, naród podzielony jest na klasy społeczne o sprzecznych interesach. Jedno tylko wspólne uczucie jednoczy je w naród — uczuciem tem jest nienawiść do niewolniczego jarzma, głęboka nienawiść do rządu rosyjskiego i jego przedstawicieli w Polsce.

Najspokojniej zachowują się ci, którzy mogą najwięcej stracić t. zn. ludzie bogaci. Związani pewnymi niemi z rządem, rząd bowiem, jak wszystkie zresztą rządy współczesne, występuje w roli obrońcy ich interesów przed „krzywdzącymi“ ich robotnikami, — sądzą oni, że decydującą walkę z rządem należy przesunąć w najdalszą przyszłość, obecnie zaś — trzeba starać się wytagować u rządu pokorą i uległością tę czy inną ulgę.

Niektórzy w walce z rządem ograniczają się do tajnego nauczania języka polskiego i przeciwdziałają, posługując się nieszkodliwymi (w oryginale — *tichieńkami*) środkami, dążeniem rządu do wygnania zewsząd polskiego ducha.

Prawdziwą walkę rewolucyjną prowadzą dwie tylko partje: socjaliści i demokraci. I jedni, i drudzy stawiają sobie za cel wywalczenie dla narodu polskiego samodzielnego bytu politycznego i stworzenie warunków, któreby dały narodowi możność gospodarowania w swoim własnym kraju zgodnie z swymi potrzebami. I jedni, i drudzy wydają i rozpowszechniają wiele czasopism i gazet, drukując je w tajnych drukarniach mimo olbrzymich trudności i mimo wzrastającej stale czujności żandarmerji i policji.

Oto niektóre szczegóły z działalności Polskiej Partji Socjalistycznej. W ciągu roku rozpowszechnia partja 80 — 90 tysięcy egzemplarzy różnych druków rewolucyjnych. Od r. 1894 bez przerwy wychodzi z tajnej drukarni warszawskiej pismo „Robotnik“, w którym wszechstronnie omawia się kwestje, interesujące lud pracujący; dotąd wydano 43 numery tego pisma; pewnego razu, coby prawda, żandarmerja wykryła drukarnię po pięciu latach jej istnienia, socjaliści jednak w ciągu dwóch miesięcy zorganizowali nową drukarnię. Inne wydawnictwa drukuje partja zagranicą; przewozi się je do Polski tak, że od r. 1893 ani jeden transport socjalistyczny t. j. przewożone wydawnictwa, nie dostał się do rąk żandarmerjskich.

W r. 1898 ruch rewolucyjny rozrósł się tak dalece, że w dniu 1 maja robotnicy Warszawy i Sosnowca zorganizowali masowe demonstracje uliczne, połączone ze śpiewaniem pieśni rewolucyjnych. Odtąd rok rocznie w dniu 1 maja, poza tem zaś w czasie pogrzebu towarzyszy partyjnych i wogóle z różnych możliwych powodów organizowane demonstracje nie przestają zakłócać spokoju, tak pilnie i troskliwie strzeżonego przez rząd carski.

Partja narodowo-demokratyczna nie może pochwalić się tak wielkimi wynikami swej pracy; i ta jednak liczy wielu zwolenników, rekrutujących się z inteligencji i włościanstwa.

Jak powiedzieliśmy wyżej i — jedna, i druga partja dąży do wyzwolenia narodu z rosyjskiego jarzma. Istnieje jednak zasadnicza między nimi różnica. Demokraci zamykają oczy na ucisk i eksploatację ze strony polskich kapitalistów, w nadziei znalezienia sił, potrzebnych do walki, w zjednoczeniu wszystkich warstw społeczeństwa; wszystkie ich usiłowania idą w tym tylko kierunku. Socjaliści — przeciwnie, wzywają lud pracujący Polski do walki nietylko z wrogiem zewnętrznym — z Rosją carską, lecz także i z wrogiem wewnętrznym — z eksploatatorami warstw pracujących w Polsce, wzywają do walki z uciskiem we wszelkich jego for-

mach, z uciskiem, który przestanie istnieć jedynie w ustroju socjalistycznym. Organizowanie sił robotniczych dla wywalczenia tego ustroju jest nieustanną troską partji socjalistycznej.

Między socjalistami i narodowymi demokratami istnieje zasadnicza różnica również w zakresie stosunku ich do Rosji. Gdy narodowi demokraci w narodzie rosyjskim widzą tylko wroga, — socjaliści uczą lud polski, że i wśród Rosjan są zarówno gnębiące, jak i gnębieni, i że część tych gnębiących wystąpiła już do walki z tym samym rządem, z którym walczą Polacy. Jednym słowem, socjaliści wskazują na wspólność interesów i na konieczność łączności uciśnionych robotników wszystkich krajów i narodów, tembardziej zaś — robotników z tego samego państwa.

Od dawien dawna już bardziej światli Polacy, widząc, że nietylko polski, ale i rosyjski naród pozostaje pod uciskiem, szukali w czasie polskich walk możności współdziałania z Rosjanami, dążącymi do wyzwolenia z carskiego jarzma. Już w czasie powstania 1830 roku na sztandarach polskich powstańców wypisano: „Za naszą i waszą wolność“. Wielu Polaków brało udział w rewolucyjnym ruchu rosyjskim, ręka Polaka Hryniewieckiego zadała śmiertelny cios Aleksandrowi II w dniu 1 marca 1881 r.

Dotąd jednak te dążenia polskie rozbijały się o obojętność Rosjan w stosunku do polskiego pragnienia wyzwolenia się z jarzma rosyjskiego.

O tej obojętności mogliśmy dużo powiedzieć, obecnie jednak nie będziemy się zatrzymywać nad tą kwestją, sądźmy bowiem, że wyjaśnić ją można tylko w specjalnym wyczerpującym artykule.

Obecnie lud pracujący Rosji, budzący się z wiekowego snu, występuje do walki — nie jest on osobiście zainteresowany w gnębieniu narodowości; to też przypuszczalnie trzeba, że zrozumie, iż wielkość Rosji nie polega bynajmniej na podbijaniu i ujarzmianiu innych krajów i narodów, zrozumie całą hańbę barbarzyństwa rządu w stosunku do zwyciężonych narodów, — i walcząc o swoją wolność, nauczy się szanować wolę i wolność innych narodów.

Na zakończenie szczegółów drobny, lecz ciekawy. W dniu 25 listopada 1902 r., w pół roku po wyjeździe z Londynu i wymianie ostatnich listów z redakcją „Swobody“ pisał Piłsudski z Wilna do towarzyszy londyńskich: „Przyszlście mi choć jeden egzemplarz „Swobody“ z moim artykułem... niech mam tę przyjemność, że siebie w druku przeczytam“... Zyczenia tego jednak, o ile wiem, nie spełniono — w dalszych listach Piłsudskiego niema żadnej o tem wzmianki, niema najkrótszego podziękowania...

„ENCYKLOPEDIA WYCHOWANIA“

Malo jest wydawnictw specjalnych, któreby w równym stopniu mogły liczyć na ciekawość laika, jak „Encyklopedia Wychowania“. Wydawnictwo to, ukazujące się od ub. r. zeszytami, nakładem Naszej Księgarni, pod naczelną redakcją dr. S. Łempickiego, prof. U. J. K. obejmie ogółem trzy tomy. Tom pierwszy będzie poświęcony zagadnieniom wychowania, drugi — dydaktyce ogólnej i szczegółowej, trzeci — organizacji nauczania i wychowania w Polsce i zagranicą. Wydane dotychczas zeszyty tomu pierwszego przynoszą zarys nauk pomocniczych pedagogiki w czterech rozdziałach p. t. fizjologiczne, antropologiczne, psychologiczne i socjologiczne podstawy wychowania. Rozdział pierwszy, rozpatrujący szczegółowo rozwój fizyczny dzieci, młodzieży oraz okresy rozwoju człowieka i ich higienę, opracował doc. dr. W. Dybowski. Antropologiczne podstawy wychowania omówił prof. dr. L. Jaxa Bykowski. Bogato i interesująco przedstawia się dział poświęcony psychologii. O nowych jej kierunkach informuje wyczerpująco prof. dr. M. Kreutz, o rozwoju psychicznym dzieci i młodzieży pisze prof. dr. S. Szuman. Zarys stojącej dziś w ogniu zainteresowań charakterologii i typologii dzieci oraz młodzieży daje prof. dr. S. Baley; ten sam autor rozpatruje zadania psychologii pedagogicznej; dalsze artykuły są poświęcone metodom i wynikom psychologii pedagogicznej (prof. S. Szuman i prof. S. Blachowski) oraz psychopatologii dzieci i młodzieży (dr. J. Frostig). Nie mieliśmy dotychczas dzieła zbiorowego, utrzymanego na wysokim poziomie naukowym, któreby w sposób tak wszechstronny a zarazem przystępny informowało o najnowszych prądach i wynikach psycho-

logji. Z dużym zaciekawieniem należy oczekiwać dalszych zeszytów pierwszego tomu, które przyniosą omówienie socjologicznych podstaw wychowania, historję wychowania i szkolnictwa, przedstawienie zasad pedagogiki, wreszcie zarys polskiej myśli wychowawczej. Kto choćby w waskim zakresie chce zapoznać się z wynikami pedagogiki, przezywającej dziś okres bujnego rozwoju, nie obejdzie się bez usług „Encyklopedji Wychowania“.

10-letni bilans polonistyki niemieckiej

Bardzo pożyteczny przegląd prac z zakresu polonistyki ogłasza A. Brückner w berlińskiej „Zeitschrift für slavische Philologie“. W bieżącym roczniku znajduje się przegląd za ostatnie dziesięciolecie. Polonistykę ujmuje autor, jak w całej swej działalności, tak i tu, bardzo szeroko, uwzględnił język i literaturę, historję kultury i etnografię. Brückner, najżywszy może temperament wśród polskich uczonych, nie poprzestaje oczywiście na roli sprawozdawcy. Krytyka i polemika — ograniczona do lapidarnych orzeczeń — przeplatają tu i ówdzie związane, mocne charakterystyki nowych prac. Niestety — szczupłość miejsc sprawia, że autor ogranicza się w wielu wypadkach do danych bibliograficznych.

KAROL KRZEWSKI

„PANA WOJENNEGO NAM TRZEBA”*)

II.

5. „ZWYCZAJ KAŻDY STOI, POWIE-
DAJĄ, ZA DRUGIE PRZYRODZENIE”...

Senator Anonim (Jan Sierakowski, wojewoda łęczycki?), rozważając zagadnienie obrony Rzpltej, przypominał, że „na początku”, gdy rządził Nią „księżęta poganie” takie było prawo, iż panujący, czyli Pan gromadził wojsko kiedy chciał i używał go jak chciał wedle potrzeby. W r. 1569 wdział się Senatorowi Anonimowi, że Moskwa choć niepogańska „obyczajem pogańskim rozkazuje” i z tego powodu była i walczna i do walki gotowa. „Wojewoda Wołeski także też, jak i Moskiewski, gotowość zawždy ma”. Czasy pogańskie przypominał autor *Deliberacyj o Królu i Panach Radzie i Urzędnikach, Sejmie i Bezkrolewii* (tytuł s. p. prof. Ulanowskiego) po to, aby każdy wiedział, że „gotowość prędką ku walce i obrona prędką” stanowią przez długie lata „pierwszą sprawę i porządek” w dawnej Rzpltej.

Ale już Senator Anonim wiedział, że ta gotowość i obrona przestały być pierwszą sprawą...

Dlaczego? Otóż dlatego, że, jak o tem wiemy, obowiązany do obrony Rzpltej stan rycerski stawał się coraz bardziej stanem ziemiańskim, szlachtą, która zdobyła sobie obok innych swobód także wolność nie prędkiej, lecz powolnej gotowości czyli długiej mobilizacji...

Kim w gruncie rzeczy był szlachcic? Był człowiekiem rycerskim, obowiązany do natychmiastowego pogotowia wojennego. Mógł być nazwany „gotowym a ustawicznym R. P. żołnierzem” i tak był nazywany zawsze przez ludzi biegłych przedewszystkiem w prawie. Z tego właśnie pięknego powodu szlachta została zwolniona (a raczej sama się zwolniła) od podatku, bo „wojną służyła” a „dwójem zaraz sumptem” obciążoną być nie chciała.

Stopniowo ustawiczny Rzpltej żołnierz ostro ongiś przez pierwszych królów w ryzach trzymany stawał się ziemianinem w majątności dziedzicznej, obywatelom walczącym o prawa wygodne dla siebie, dla swego stanu. I już w złotym wieku tak było, że „pierwsza sprawa” jaką istotnie jest pogotowie wojenne narodu zesła na plan daleki, a porządek się odwrócił. To nie szlachta winna była Rzpltej i reprezentującemu ją Królowi czyli „zwierzchniemu Panu”, obronę, lecz każdy szlachcic wdział i wierzył święcie, że „Pan winien nam obronę”.

Motorem mobilizacyjnym i wojennym Rzpltej szlacheckiej mógł być król (był nim np. Władysław przed wojną smoleńską). Ale król rządził „mocą zamierzoną”. Co to znaczy? Rządził według praw i wolności szlachecko-ziemiańskich, a do nich należała także i wolność długiego pogotowia. Wdział Senator Anonim, że „dzierząc się ty swoi wolności, bez wątpienia ta wolność nasza wiele braciej naszej krwi chrześcijańskiej, zwłaszcza tych, którzy nieprzyjaciółom naszym przylegli, a prawie w jej paszczęce leżą, do wieczny pogański niewoli dopędzi”. I nie on jeden o tem wdział. Ale cóż z tego?

Troje wici w cztery niedziele! A później — sejmikowanie po powiatach. Już Rej pisał: „Nuż moje miłe wici, toć was długo kręca, Nieprzyjacioly ciesząc...” Cztery tygodnie według praw przytoczonych przez Jana Tarnowskiego w praktyce okazywały się jako termin ukończenia mobilizacji fikcyjnej...

Pierwszą obroną Rzpltej było to wojsko, które stało na granicy. W złotym wieku, w czasie rozkwitu i potęgi dawnej Rzpltej tego wojska nigdy nie było więcej ponad trzy tysiące z okładem paru setek!

Jak ono zostanie zasilone a przedewszystkiem kiedy — o tem nikt nie wdział: ani król czyli zwierzchni Pan, ani hetman czyli Naczelną Wódz, ani szlachta czyli (pozwalając sobie na użycie terminu współczesnego) „narod uzbrowiony”.

*) Patrz część I-a Nr. 11 „Pionu”.

Głosów rozsądnych wołających o zwiększenie stałego wojska możnaby przytoczyć wiele. Projektów zwiększenia siły zbrojnej znamy też немало. W praktyce przecież Rzplta skazana była na pospolite ruszenie, a więc — co tu dużo się rozwódzić — zdana była na dobrą wolę człowieka poczciwego. Oni to „ludzie poczciwi” w najlepszym razie bronić mieli granic państwa, z nimi to ludźmi poczciwymi wracać miał hetman w laurach zwycięstwa!

Wszelkie lustracje i okazywania się, przeglądy „ustawicznych R. P. żołnierzy” były częścią formalnością. Naprawdę zaś było „poczciwie” po reynosku... Stan szlachecko-rycerski gdy się stał szlachecko-ziemiańskim (a stał się nim szybko) tak się sposobił zawsze do gotowości: „Nuż gdy się też trefi czas potemu i pogoda azaż też to nie jest rzecz potrzebna człowiekowi poczciwemu na konika wsięść, zbroiczki sobie przypatrzeć, słudze też na drugiego kazać wsięść, albo jeśliby się przytrefił dobry towarzysz jaki, więc tu sobie pomiernie pobiegać, spytać go jeśli się też umie obrócić, albo zrazu wyskoczyć, albo się zastanowić, gdy tego potrzeba, albo jeśli mu się takie wędzidelko podoba. Więc też nie wadzi, jeśli potemu zdrowie, i drzeweczko wziąć, na dołbie sobie z nim poigrać, albo do pierścionka też albo do czapeczki pomierzyć, bo z tą i krotofila i ćwiczenie uość może. I potem kiedy między ludzie uczciwe się trefisz, już będziesz wszędzie wdzieczniejszy, gdy to będziesz ukazać miał, czego drugi nie umie”...

Mikołaj Rej nie pouczał, lecz miękko tłumaczył, że „konja, zbroje i inszych rzeczy poczciwemu spróbować jest rzecz potrzeba”. A ziemiańscy poczciwi znali co najwyżej swój powiat i kłó w żywe kamienie wszystko co go od spraw powiatowych odrzucało. Przy szczupłym wojsku stałym, na które nigdy nie było pieniędzy w skarbie Rzpltej — „narod uzbrowiony” mobilizował się długo i źle, a gdy się zmobilizował stanowiąc wojsko prawie nie do użycia...

Pospolite ruszenie było kawalerją. Tlum szlachecki na koniach siedział i z koni na równej drodze nie spadał. To się nie da zaprzeczyć. Ale do kawalerji było mu daleko. Sławy w swoim powiecie zabijaka, sejmikowicz, obcinający braci uszy w pojedynkach, nazywany był przez rotmistrza *chwastem*, gdyż ani konia zażył, ani szabłą z konia władać nie umiał. Lepiej władał chłop kłoniący niż szlachcic herbowy a więc „gotowy żołnierz R. P.” kopją... „A czasem z przestachu zadn: plach na przodku sobie zawiesi, a mniema iż tak barzo do brze”. „Na straż” takich rotmistrz nie wybierał, a choćby i wybrał, to hetman nieraz wyprawić nie pozwalał...

Gdy jeszcze z uzbrojeniem było jako tako — z koniami było źle. Posiadała Rzplta swego konia, konia *polskiego* o którym wiemy dziś tyle co nic, ale z tego co wiemy sędzić trzeba, iż miał zalety konia kawalerskiego. Koń polski poszukiwany był przez sąsiadów, szczególnie przez Moskwy, rozwijającą pięknie swoją potęgę wojskową. Ziemiańscy nie parali się łokciem, handel im śmierdzał, handel mieli za rzecz szlacheckiego stanu niegodną, ale konia nie mierzyli ani sprzedawali na łokcie. Znała dawna Rzplta różne „lamenty”, znała i końskie. Stało co prawda w r. 1538 prawo: „Stada końskiego nie ma żeden sprzedawać, ani wyganiać z korony, pod stracaniem onychże koni”, ale jakbyś je wypisał widłami na wdziele!

Wskazywano więc królom dalej, że koni w kraju jest „bardzo mało, bo je z koni wywodzą, co by też potrzeba lepiej opatrzyć, niż opatrzone jest”.

Nie senator, ale uczony ksiądz wołał pod koniec wieku złotego:

„Gdzie bowiem łakoma rada i chciwa, gdzie rzeczy potrzebne z państwa precz wywożą, sami siebie ubożąc, a to, czymby państwu pierwej potym przyjacielom pomoc mogli i mieli, do nieprzyjaciół wnoszą, tam już przeciw nam naszymże dobrem nieprzyjaciela mocnią”...

Tak było z koniami i ze wszystkim, co do

„gotowości” potrzebne było, bo granice państwa otwarte były. Jednym z tych co o rozszerzeniu granic Rzpltej mówili był właśnie Wiśniowiecki, bo granica jego własnego „państwa” zamykana i otwierana była na jego rozkaz. Ten człowiek wdział co to *pałanka* kozacka!

Nie kryzys, lecz zbytek, *luxus* w Rzpltej panował i *luxus* koński też. Były więc ogólnie araby niezmęczone w ustawicznym kręceniu się i wierceniu, turki z pysznym wyrzutem nóg, rosłe węgry i o długim kłusie, przeważnie kasztany złociste.

Wymieniam tylko konie lekkie, na które pospolite ruszenie siadało, gdy się „chamom” kozakom raczyło łaskawie pokazać. Były to konie drogie, pyszne, hodowane i pieszczone, ale pod bogatymi rzedami chrapało to, kwiczało, biło, ploszyło się — każdy naród koński po swojemu. Konie skłonne do galopu, wpadające samowolnie w cwał, rasowe lub mocno podrasowane więc ambitne, uderzające w prześcigi. Jako materiał kawalerski na nic bez długiej, długiej pracy stały. A hetmani jak i rotmistrze na darmo wołali właśnie o konie polskie: *mocne i równe*, czyli wytrwałe i ujeżdżone, powolne lydce i ręce (wodzom) jeżdżca.

Ale trzeba wdziedzieć, że Piławce z kozakami to dla ziemiańskiego pokazania się była także okazja... Stałe jednak pospolite ruszenie siadało na chabety, na hądry, na wywłoki, na konie najgorsze... Taki miało zwyczaj.

A koń kozacki? Wcale nie rzadki był taki co chodził jak pies za kozakiem, gozdzinami czekał nieuwiązany pod karczmą, poznawał pana po gwizdzie, odbiegał pana na wskazanie ręką za pierwsze ukrycie czyli krył się na znak, kładł się według wędzów i pod naciskiem kolan, powstawał na rozkaz i żerny był (karmił się chętnie, obficie i byle czem). Krótko mówiąc: *kozacy* (szczególnie *polni* jakby powiedział Rej) *komyszovali* a ich konie *kozakowaly*.

Po upadku dawnej Rzpltej resztę koni kozackich z jej obszarów ukraińskiego wykupili za drogie pieniądze Moskale.

Ale jakoś to było z koniem i ze zbroją było. Kiedy jednak pospolite ruszenie, kiedy wojsko ziemiańskie uzbrowiło się wreszcie a rozmaicie i posiadało powiatami i województwami na konie, gdy nadomiar sejmiki odprawilo, stanowiło bandę jakiej świat nie wdział a jedna Korona Polska znosiła...

Nieprawdą jest, że dobre wojsko tworzą dobre regulaminy. I nieprawdą jest, że podstawą dobrego wojska stanowi przedewszystkiem męstwo żołnierzy. Rzekł ongiś Seneka, iż legiony rzymskie stały nie męstwem, lecz posłuszeństwem i prawie w sedno rzeczy utrafił. Pospolite ruszenie było niekarne i to tak dalece, że śmiało można stwierdzić, iż błąk karności był drugim przyrodcem, naturą tego wojska ziemiańskiego. Ta przekłeta natura czyniła z najslawniejszych hetmanów — męczenników. Byli oni nieraz wolnej szlachty — niewolnikami. Niekarność, *niesprawa*, ta zaraza przedewszystkiem ducha polskiego stała się głęboko zakorzenionym zwyczajem pospolitego ruszenia.

Wojsko zaś przedewszystkiem i nade wszystko stoi dobrami zwyczajami wojskowymi i wojennymi, żywi się co najprędniejszemi przykładami żywymi. Tego właśnie nie było brak pospolitemu ruszeniu. A i to trzeba wdziedzieć, że wojsko czy to stałe, czy ochotnicze żyje także zwyczajami i obyczajami swego narodu, że kadra tego wojska (czyli jego dowódcy), rzecz ogólnie biorąc, mało wiele różni się dodatnio od ogółu obywateli.

Historja wojsk nie zna przykładu by wojsko demoralizowało naród, ale przytoczyć może wiele przykładów — i niestety wiele z historii Polski — że naród demoralizuje wojsko i jak rak toczy własne swoje ramię zbrojne.

Pospolite ruszenie wnosilo ze sobą na wojnę swój własny... pacyfizm. Równie po-

kojowego stanu jak szlachta polska (krewka i łatwa do bitki) nie miało żadne państwo w Europie. Pacyfizm ten wypłynął z walki stanowej możnowładców z królem a związany był ściśle z ciasnym horyzontem politycznym szlachty.

W XVII w. jest już tak, że król z kancelerzem mogli sobie prowadzić politykę zagraniczną z całkowitą swobodą z tem jednak aby ta polityka nie była związana z żądaniami stawianymi stanowi „rycerskiemu”. Mógł sobie król wyprawić poselstwa jakie chciał. Było to rzeczą kancelarii królewskiej.

Każdy jednak król stawał się natychmiast wrogiem pokoju i złym Panem gdy poczynął wskazywać na groźbę ze strony czy to Szwecji, czy Turcji, czy też Moskwy. To samo z kancelerzem, który był koźlem ofiarnym szlachty, bo oczywiście trzymał z królem. Wskazywanie na groźące niebezpieczeństwo narodowi bez wojska pachniało mu podatkami i różnemi ofiarami. Nie wtrącać się do obcych i nie prowadzić żadnych wojen — oto doktryna polityczna „narodu uzbrowionego”, dokola którego rosły potęgi militarne. Polacy winni wojną grozić, ale toczyć jej nie powinni — oto zasada!

Ale tak się przecież zdarzało, że z tego czy owego powodu, w ten czy inny sposób nieprzyjacieli „nastawali”. Winien król, winien kanclerz, winna „Rzeczpospolita”, bo się źle układa — oto głos opinji.

A gdy nieprzyjacieli wali ku granicom? A no, niech najpierw wejdzie w „ojczyście dzielnice” a jakoś to będzie — oto rozumowanie! „Są niekörtórzy, co rzeczy bojowe na szczęście, by na kostkę, sadzą, wszystko to mu przypisując, a tego nie baczą, że *szczęście ciasne ma miejsce, gdzie rozum panuje*” — wołano, lecz głos taki był jak wołanie na puszczy!

Z ustawem liczeniem na szczęście Rzplta szlachecka upadła. A gdy upadła — dopiero wtedy rzecz się jasną stało, iż Ją Bóg opuścił. Bo od rozkwitu Rzpltej do jej upadku Bóg trzymał z szlachtą (według przekonania ogółu szlacheckiego) i On miał bronić „Hierozolimę Polskiej”.

„Drudzy zasie są, co Panu Bogu wszystko przypisują, co acz prawda jest, bo bez Pana Boga nic być nie może, wszakoż napisano: *Nie trzeba kusić Panem Bogiem*. Dlatego dał Pan Bóg rozumy, abyśmy ich używali, dlatego dał rozum abyśmy się nim sprawowali, jedno żebyśmy się na nim sadząc, Pana Boga nie odstępowali. Salomon, wzięwszy królestwo, nie ocz inszego prosi Pana Boga, jedno o rozum, którymby lud się musiał sprawować, którego prośby Pan Bóg pochwalil”.

Z takich rad tyle było skutku co z ciśkania grochem o ścianę, bo ludzie poczciwi wierzyli, że choćby najmniejsze wojsko zwycięży zawsze z Bożą pomocą, więc pokiego djabła zwiększać je?...

Mówili mądrzy: „Jest to prawda, iż, gdy Bóg raczy, mało wojsko wygra: czego jasnym przykładem Gedeon i często to Pan Bóg okazuje, iż zwycięstwo jest w mocy Jego, nie w koniach, by ich też najwięcej było, ani w dzielnej ręce człowieka mężnego; wszakże zasie każe być gotowym. Mojesz kazał lud obierać rycerski i Dawid postanowienie czynil wielkie koło spraw rycerskich, by zaś w tym, czego potrzeba, o mieszkania jakiego nie było”.

Ale i takie nauki szły w las, jakby wilkom były poruczone. Wiara w Boga — nie rozumu to rzecz. Żle idzie do Boga ten, kto rozumem chce do Niego trafić. Jeżeli jednak można wierzyć w Boga głupio lub mądrze do szlachta polska — gdy o kraju obronę chodzi — wierzyła głupio.

Dzięki doktrynie politycznej wyznawanej uparcie przez pospolite ruszenie nie skłonne ono było do wojny poza granicami Rzpltej. „Ustawiczny R. P. żołnierz” przed przekroczeniem granicy poczynął rozumować jak żołdak najemny (zwany *drabem*). Miał z własną Rzpltą osobny kontrakt za

wojnę za granicę państwa... — Gdybyż tylko to! Pospolite ruszenie nie tylko się bić za granicę nie chciało, ale panicznie obawiało się jej przekroczenia.

Wojsko wyruszające zagranicę było stale demoralizowane głosami dochodzącymi z kraju. Ojcowie pisali do synów: traćcie poczty, traćcie konie, ale wracajcie, bo jedyna zgraba was czeka!

Stanowisko wojenne szlachty dałoby się temi ująć słowy:

„Wojny niesłusznej z nikim nie
zaczniemy,
Kto z nami pocznie, przeciw się
bronimy.
Kto do nas przyjdzie, to go wylatamy.
A potem mu zaś basarunek damy”...

Bardzo to piękne i srodze chępliwe. Ale wskażcież mi wojnę według pospolitego ruszenia słuszną!... Jakaż „słuszną” wojna nie widziała uchodzenia całych chorągwi, całych powiatów a nieraz i województw?

Zdarzało się, że pospolite ruszenie było się nienajgorzej. Bywało to albo pod srogimi wodzami albo gdy wciągnęło się ciężkim trudem zawodowych rotmistrzów na dłuższą wyprawę. Ale rzadkie to wypadki, wyjątki. Naprawdę zaś pospolite ruszenie nigdy nikomu skóry nie latało, wrogom Rzpłtej wypłacało się źle. Twardzi hetmani, znakomici dowódcy, ludzie rycerscy: rotmistrzowie z zawodowymi żołnierzami i prawdziwymi ochotnikami ci dopiero zadawali „pięprzu z imbirem” nieprzyjacielowi.

Nieprzyjacielem Rzpłtej był w Szwed, Moskal, Turek... Ci byli nieprzyjacielem „postronnym”.

Ale Tatar i Kozak — nie! Ci — to wrogowie „miejscowi”, rodzaj szkodnika domowego.

Radzić sobie musiała z tymi gośćmi nie miłymi ludność właściwych województw, wojska panów kresowych, no i ta odrobina wojska stałego. Tatarzy i Kozacy nie był to wróg całej Rzpłtej, bo całej przy istnieniu „ojczyzny dzielnic” nie było. Rzpłta nie była znitowana, jako państwo nie była zmontowana.

Pouczano i znowu nadarmo szlachtę, że człowiek mądry nie „mówi co pospolicie ludzie głupi mówią: **Dobry człowiek, ale Mazur, ale Litwin.** A ty ktoś? Dobry o każdym dobrze rozumie, a na narody dobrze mówi. **Głupie mowy czynią wielkie zwady;** głupie mowy nie dopuściły uniej barzo długo, choć za wielkim a uprzejmym staraniem. Trzeba bacznie mówić, a na narody się nie targać, ale radniej onych bacznych słów naśladować Hannibala, onego hetmana kartagińskiego wielkiego, który tak mówił: Ten u mnie będzie Kartagińczykiem, który się męźnie potka i tak się zachowa, jako przystoi cnotliwemu. Dido królowa, acz niewiasta, nie chciała mieć różności między Trojanami i między swymi Kartagińczykami: oba do brzy byli”.

Pomiędzy „dwoma narodami”, między Koroną a Litwą różności były. Gdybyż to tylko! Ale szły jeszcze Polaki: Wielkie i Małe i ci z Rusi, stąd i zowad. Każda wojna miała ruszać wcześniej tych, niż tamtych, jedni oglądali się na drugich. Każdy pospolitak miał gębę pełną Boga i Ojczyzny, a z Rzpłtą na wszelki sposób się rachował i targował — swoje wsiadane uważając za ostateczny jej ratunek a psi swój obowiązek zapłacony szlachectwem, majątnością, przywilejami za szczyt poświęcenia!

Wszelkie zwady powiatowe i dzielnicowe fatalnie się odbijały na pospolitem ruszeniu i rzeczywiście głupie mowy rodziły w niem wielkie zwady w marszach i na postojach.

Nadmiar dwie wielkie plagi: podwójny fanatyzm bo i polityczny i religijny.

Nie pod bokiem lecz pod nosem nieprzyjaciela pospolite ruszenie chwytalo za szablę na siebie z powodu odmiennego poglądu politycznego, w obronie swoich kłamek pańskich, w obronie wolności szlacheckiej na którą nikt — niestety — się nie targował.

Otaczano namioty hetmana, dowódców i nie pozwalano raz na to a raz znowu na co innego, bo im szlachta stawała się ciemniejsza, a taką się stawała w XVII w. z pokolenia na pokolenie — tem mniej rozumiała na czym Rzpłtej zależy, a tem więcej nie pozwalała. Stąd w pospolitem ruszeniu: **burzki, niepomyślny animusz, rankor, bunt** —

sprawy według artykułów hetmańskich — gardlowe.

Ostro podniecana walka religijna odbijała się wogóle na całej Rzeczypospolitej — wojska nie oszczędzając i nie słabnąc na wojnie. Pięknie kwitła w czasach „Ognia i miecza” różnica domowa oparta nie tylko o to, że „jedni na księży jako na Turki jadą, drudzy szlacheckiego stanu ludziami nie sprzyjają, niektórzy pany podejrzanę mają, a insi plebejuszów za ludzi nie mają” przy braku czynnika utrzymującego zdrową równowagę między stanami dla dobra państwa, lecz i na walce wyznaniowej.

„**Żadna rzecz nie straci prędzej państwa żadnego, jak różnica domowa.** Daj Boże, by i nas samych też taż nieszczęsna różnica upadku i niewolej kiedy nie nabawiła” — przestrzegal Jakób Górski u progu XVII w.

Ale cóż z tego, że Skarga kazał (król zasnął raz na jego kazaniu!), a różni Górscy przestrzegali. Toć na ten przykład — jeszcze przed Zbarażem — uderzył piorun w „piechotną chorągiew” Firleya. Oznaką to miało być gniewu Bożego, bo Firley w służbie Rzpłtej posiwił i wódz srogi, był kalwinem. Stąd wśród pogłosek o wrogu, szerzących popłoch, i „burzki” na tle wyznaniowym, a w samym Zbarażu już tumulty religijne, wywołane przez podszczyt tych ludzi skądinąd pocziwych, w Zbarażu przez wroga osaczonym i otoczonym! Wystarczy powiedzieć, że Jaremic Wiśniowieckiemu swoi zabili z ukrycia na wale wiernego sługę tylko dlatego, że był kalwinem (czy nie był nim aby Jakób Rokotnicki?).

Nie pojono Kisiela malmazją za politykę pokojową, ale czem go karmiono za wyznanie?

Nie dwa jednak fanatyzmy — polityczny i religijny były najgorsze. Co było rzeczą straszną to wojska prywatne, wojska możnowładców, panów, których stać było na własną siłę zbrojną gdy jej Rzpłtej żalowali, — to dalej niechęć szlachty pełnienia służby pod hetmanami i pod stałymi dowódcami, lecz gorliwa chęć łączenia obowiązków służby wojennej z wysługiwaniami się magnatom, którzy szlachcie schlebiali i którzy też na fatalne jej zwyczaje przez palce patrzyli i na wojnie.

A panowie — wiadomo: sobie pany! Tu już trzeba nie prostoty zdań sieniawickich, składanych dla pociechy serc w rozdziały i księgi, lecz ostrego nieraz jak krzemień, dojmującego słowa Zeromskiego rozdrapującego rany zabliznione:

„Každy z osobna wódz, każdy król. Pan Jerzy Mniszek — król sobie, Wiśniowiecki — sobie, Sapieha — sobie, Różyński — sobie, Samuel Tyszkiewicz i Mohilowi zięciowie. Každy zależy tylko od Boga i od swoj woli. Z kim chce, z tym zawiera przy mierze, z kim chce prowadzi wojnę i gdzie chce szuka ojczyzny. Djabeł Stadnicki i Ludwik Poniatowski zdobywają zamki i dwory, palą wsie i lupią miasta w ojczyźnie. Zebrazdowski gromadzi stotysięczną armję przeciwko panującemu królowi. Lisowski w kilka tysięcy urwanego od szubienicy czlowieka rozbije ogromne pułki jedynowładców północy pod zamkiem Bielozierskim, w Wielkiej Soli, pod błotnistym Suzdałem, zdobędzie niezmierną krainę dla impostora Dymitra i Maryny. Oleś Zborowski Samuelów oświadczy, że Polski za ojczyznę mieć nie chce, jeśli król Zygmunt w jego sprawy, w jego zamki na moskiewskim budowane lodzie zechce zaglądać. Xiążę Kareckie we dwudziestu bitwach pogromi stotysięczne

hordy na tem wołoskiem palenisku, wiecznie krwią polską gaszonym.

A jeśli swawolnicy zięciowie, prowadząc teścia hospodara na multanski tron, podpal pod całą Rzeczypospolitą wznęca, skoro Lisowczycy, wspierając cesarza z Bethlenem Gaborem rozruszają sultana do tyła, że ogniem wielkiej wojny w Polskę wybuchnie, — kiedy przyjdzie wszystkiego odzławać, nieprzyjaciela odepchnąć cios, gołe granice zastawić od nawaly — wtedy niechże!

Z wszystkich, z najjaśniejszej Rzeczypospolitej nie znajdziesz nie wyściskasz z kolan, nie wystoisz u drzwi przemożnych, nie wypiszesz tysięcem listów, nie wyżebrzesz przez rumor uniwersałów siedmiu tysięcy żołnierza!”.

A przecież panowie polscy i litewscy i ruscy gromadzili sobie wojsko na zawołanie!

W roku 1590 Turcja postawiła Polsce ultimatum. W ciągu dni sześćdziesięciu miała Rzpłta albo wypłacić trzysta tysięcy talarów za szkody poczynione przez kozaków albo się zburzmanić. W przeciwnym razie, jak zdawał sprawę Mikołaj Czyżewski, sekretarz zmarłego w Carogrodzie posła Pawła Uchańskiego, wojewody plockiego, Turcy mieli „kraj koronny” stratawać kopytami końskimi. Nakazano zwyczajne pobory i pogłówne powszechne, zlecono zaciągnięcie pożyczki wewnętrznej w sumie miliona pięciuset złotych. I cóż? Stanisław Górka, wojewoda poznański z paroma senatorami dokonali tego, że prymas Karnkowski zwołał sejmiki w Kole i ustawę sejmową o poborze skasował.

A nadto: tuż przed wojną władzę hetmańską srodze poniżono. Skazano Rzpłtą na zaciągi prywatne, długo trwające i licznie nikłe.

W roku zaś następnym gdy wypłynęła „niezmiernej” dla losu Rzpłtej wagi sprawa, ta mianowicie: czy Janusz Radziwiłł miał się żenić z Olelkowiczówną, księżniczką słucką, czy nie — poczęli Radziwiłłowie z Chodkiewiczami przygotowywać się do wojny między sobą i nie na żarty!

Posłuchajcie, dobrzy ludzie: „Naprzód rokiem przedtem (właśnie wtedy gdy wojna z Turcją groziła!) spisywali sobie krajowe i obce żołnierstwo, trzymali przy boku liczniesze poczty, sposobili przyjaciół, a gdy się czas przybliżał, ujrzało Wilno, jak niegdyś Troja o Helenę, broń i wojska w pogotowiu. Wojewoda Wileński (był nim Krzysztof Radziwiłł) mając z urzędu zachowanie, jako hetman wielki litewski, wszystkie przedniejsze z domów szlacheckich ludzic, przez prośby i listy sprowadził. Trzech ksiąząt Ostrogskich: kasztelan krakowski, wojewodowie kijowski i wołyński, każdy do sześciuset koni a siedmiuset hajduków ściągnęli. Abramowicz, wojewoda smoleński, pięćdziesiąt koni, Mikołaj Naruszewicz, kasztelan żmudzki, szwagier wojewody, sto koni i sto hajduków przystawili. Zamojski, kanclerz i hetman koronny dwieście konnych przebranego ludu z Podola przysłał, dawszy im rotmistrza Piotra Zboryńskiego. Książę kurlandzki dwieście rajtarów posłał. Książę Jerzy Radziwiłł, starosta mozyrski, bratanek, sto huzarów, hajduków i kozaków stawił. Prócz tego szlady wojewodzińscy, każdy według przemogi swojey ludzi przystawując, do sześciu tysięcy wojsko Radziwiłłowskie podnieśli.

Z przeciwnej strony Chodkiewiczowie z przyjaciółmi swymi jazdy tysiąc sześćset a piechoty sześćset ludzic, zbrojnego i ważnego w dobrym porządku wojska pod sprawą Jana Karola Chodkiewicza, starosty żmudzkiego, czwartego dnia lutego do Wilna przywiedli, mając przy sobie 24 dział ze śmigownicami. Wjechawszy do owej kamienicy (w której zamknięta była Olelkowiczówna) Jan Karol Chodkiewicz rozporządził żołnierzów, a działa, na sposobne miejsca zastoczone, poukrywał”.

Oto żywe przykłady jakimi się żywili ci, którzy stanowili pospolite ruszenie...

Oto zwyczajnie na które patrzyli.

A król? „Zwierzczeni Pan” wyprawil poselstwo do Wilna z listami, prośbami i rozkazami do stron obydwu, aby nie czynily rozruchu w Rzpłtej. Bo cóż innego mógł uczynić? Wszelkie przypuszczenia na nic. Król mógł tylko czegoś chcieć — ale móc — nie mógł, bo mocy nie miał.

D. c. n.

MARJA STATTLER - JĘDRZEJEWICZ

ŚWIAT PRZEPADŁ...

Świat przepadł. A ten kształt codzienny,
Ten kształt tak bardzo Ci domowy
W pustce zaginął bezimiennej.

W nierozpoznanem błędzisz kole,
Mowa obcymi dźwięczy słowy,
Zgubiłeś dolę i niedolę.

W pustce wychłodłej i wybladłej
Świat się rozproszył i zaginął,
Zginęła jawa, sny przepadły;

Jeno skroś duszę światłe smugi
Z przestrzeni w przestrzeń zwolna płyną
I świat budują poraż drugi.

BEZSENNĄ NOC

Stąpa, chodzi noc po izbie
Obłądana, zaspana,
U zegara przystanęła:
Daleko do rana.

Pocichutku, wszystko drzemie,
Ona jedna czuwa,
U zegara przystanęła,
Skazówkę posuwa.

Rozespana noc się ślania,
Po kątach przykleka...
Na zegarze czas uderza
Tajemnicza ręka.

RZECZY DALEKIE

Rzucam ziarno, rozsiewam je wkrąg,
Aż się cała nie wyczerpie miarka;
Jak gołębie u Świętego Marka
Rzeczy obce lecą mi do rąk.

Kto jest zbawca, kto nieznanny wróg?
Życie ludzkie przedziwne zjawisko...
Co dalekie przylatuje blisko,
Rzeczy obce lecą mi do nóg.

Tych najdalszych zaspakajam głód
Aż mi same przylecą do dłoni...
Człowiek serca niepotrzebnie broni:
Prawo rzeczy napisane wprzód.

KSIĘŻYCOWA DROGA

Daremno oczy, serce trudzę
By w morzu boskiej naleźć drogi, —

Po księżycowej, srebrnej smudze
Szyły Chrystusowe nogi...

Po srebrnej, cichej szły poświęcie,
Po fali roziskrzzonej, —

Kędy takowych świątków znacie
Co doszli drogi onej?

STRAŻNIK CZASU

Bez słów, nie patrząc, nie czując, bez ruchu,
Na straży czasu stój wyklęty duchu.
Trwaj. Życia niema, jeno łoskot fali
Czasu, co rzeką niezgłębioną wali.

Trwaj. Niechaj myśli i czucia zagasną,
Aż ci nastanie świt, aż będzie jasno
I straży czasu nowa ujmie warta;
Wówczas odejdiesz precz: droga otwarta.

MICHAŁ
WALICKI**WSCHÓD I ZACHÓD^{*)}
W SZTUCE RUSI CZERWIEŃSKIEJ**

(Uwagi na marginesie Wystawy Sztuki Ukraińskiej w Warszawie)

DOBA RENESANSU I BAROKU

Wystawione w Instytucie Propagandy Sztuki ikony reprezentują przeważnie wiek XVI i XVIII. Jak nadmieniałem to już uprzednio, kilka zaledwie z tego zbioru pochodzi ze średniowiecza: co ważniejsza, dwie ikony z XV niewątpliwie wieku, noszą cechy oddziaływania gotyku — mam tu na myśli część Deisusu z Lisiatycz oraz ikonę ze św. Piatniśca i św. rycerzem, obie odznaczające się odmienną fakturą oraz gotycką stylizacją napisów. Przeglądając pozostały materiał dochodzimy do wniosku, że jedynie wiek XVI oraz koniec XV, był dobrym okresem dla tego malarstwa. Świadczy o tym chociażby głowa Madonny z Krasowa, (dziwnie bliska Kazańskiej Hodegetrijl) postaci archaniołów z Dalewa i ewangelista z Kamienieckiego ikonostasu. Barwna, muzyczno-lyryczna organizacja tych archańskich postaci, zbliżona nieco do Jarosławskiej szkoły, oraz graficzna ekspresja głów ewangelistów, zdają się stanowić cenny i oryginalny wkład do sztuki bizantyńskiej pogranicza. Z niepokazanych na wystawie obiektów, a znajdujących się w zbiorach Ukraińskiego Muzeum, należałoby tu jeszcze dodać cenną ikonę św. Jerzego z Turja o fascynującej wymowie dużej, łagodnie nachylonej młodzieńczej głowy. Z ikon wkraczających już w 17 stulecie należy wymienić obraz św. Eustachego, którego ogólna stylizacja przywodzi na myśl perskie minjatury, co potwierdza jeszcze układ powiewającego płaszcza, nawiązujący do form sassanidzkich, znanych w bizantyńskim średniowieczu. A inne ikony? Widz, nieobciążony pamięciowym balastem historyka sztuki, reaguje na nie żywo, odczuwając (i słusznie) hieratyczną wymowę tych form, zamilowanie do rytmicznych zestrojów, ostrość zestawień barwnych oraz wdzięk metaliczno-graficznego duktu. Pewien wspólny moduł kompozycyjny, obecny we wszystkich tych dziełach, zdaje się decydować o ich „stylowości”. Swoisty egzotyzm tych form, jest dla publiczności warszawskiej cennym nowym i odrębnym — jeśli się zważy, że jedynym wykładnikiem „bizantyńskiej” sztuki na terenie dawnej Kongresówki były wznoszone przez zaborców małe artystyczne cerkwie i jeszcze bardziej niedolne ich dekoracje. Natomiast każdy, kto miał możność przelotnego chociażby kontaktu ze wspaniałą sztuką rosyjskiego średniowiecza lub Bałkanów, chodzi po wystawie z przymkniętymi oczyma: te ikony z Czerwieńskiej Rusi są, mimo całej swej prostotliwości i formalnego pogrubienia, odpryskiem wiecznie żywego w sztuce ducha Bizancjum — i jako takie posiadają dostateczną siłę sugestji, by pod przymkniętą powieką móc wysnuwać inne o ileż czarowniejsze wizje — przypomnienia, wibrujące doskonałą pełnią barw i wyrafinowanym asonansem płaszczyzn.

^{*)} Patrz pierwsza część artykułu w nrze 9-y „Pionu”.



Archaniol Michał, Ikona w Muzeum Ruskiem we Lwowie (z Dalewa) w. XVI

...Jeśli się na chwilę zapomni o tych, mimo wszystko niemal niesamowitych akordach kolorystycznych, jakie skupia wystawa ukraińska, podniesionych prawie do absolutnych barw wyrazu, a jakże odmiennych od racjonalistycznej wymowy barwnej płaszczyzny gotyku; jeśli się już odchodzi zupełnie przekonaniem o legitymizującym rodowodzie tej sztuki z Bizantyńskich — li tylko — źródeł inspiracji — bodaj, że w tym momencie właśnie rodzą się pewne wątpliwości. Jak zawsze, pierwsze obiekty najłatwiej nasuwa strońa tematowa. Wystawiona na Wystawie „Misericordia Domini” — zwana inaczej „Chrystusem w studni” — w sposób oczywisty wykazuje swój związek z ikonografią gotycką. Przeglądając się bliżej dostrzegamy na stosunkowo znacznej ilości ikon, wyciskane w gruncie i złożone tła, okryte ornamentem roślinnym i zwierzęcym — a tak niezwykle dla sztuki rusko-bizantyńskiej. Rodowód tego motywu, zaczerpniętego z polskiej sztuki gotyckiej, przechowującej go aż po wiek XVII — wydaje się być oczywisty. Szukając potwierdzenia tych pewnych spostrzeżeń w materiale nie eksponowanym na wystawie, stwierdzamy dalsze analogie: Pokłon Magów z Busowisk wykazuje w stylu i typice postaci królewskich zastanawiające filiacje z szeregiem polskich gotyckich obrazów; Mandyljon ze zbiorów Towarzystwa Szewczenki (XVI) obfituje w remanenta stylowe gotyckie polskich „Veraicon”, zaś skrzydła tryptyku z Uherzec oraz niepublikowane fragmenty ołtarza z cerkwi wołoskiej również potwierdzają to pokrewieństwo. A gdy zaniepokojeni heterogenicznością tej sztuki cofamy się głębiej — wówczas sceptycznie nastrojone oko dostrzeże już wyraźnie gotyckie komponenty formalne w najstarszych już zabytkach, jak w mandyljonie z Cepekowa oraz w Deisusie ze Starysk, przywodzące na myśl prymitywne dekoracje ścienne z XIV w. kościoła w Czchowie. Interesująco wyglądają zwłaszcza sceny z Pasji w Uhercach, których zachodnia redakcja dobrze koresponduje z faktem istnienia w XV w. szeregu zachodnioruskich opowieści o Męce Pańskiej tłumaczonych z polskiego. Skądinąd z pracy M. W. Alpatowa wiemy, jak słabe i zróżnicowane były wpływy zachodnie na średniowieczną sztukę rosyjską...

Katalog wystawy Instytutu Propagandy Sztuki, mówiący w tytule o „sztuce Ukraińskiej” upoważnia do szukania wytłumaczenia tego fenomenu na szerszym terenie. Już w r. 1913 N. I. Pietrow stwierdzał, że ogólne wiadomości o malarstwie halicko-wołyńskim XIV w. nie dają podstaw konkretnych dla historyka. Podobnie N. Kondakov nawet w ostatniej swej pracy „Ruskaja Ikona” (1929) nie przekroczył był zakresu ogólniejszych wiadomości w tym względzie. Atoli już podróżujący w połowie XVII w. po Ukrainie archidjakon Paweł z Aleppo, towarzyszący metropolicie antjocheńskiemu Makaremu, notuje superlatywy o wspaniałym, według jego zdania, obrazie Matki B. w Wasylkowie, stwierdzając jednocześnie, że malarze „Kozacy” (?) zawdzięczają wiele w swej sztuce wiedzy malarzy zachodnio-europejskich i łacińskich. Ta wzmianka zgadza się dobrze z podnoszonym niejednokrotnie faktem uczestniczenia polskich sił artystycznych przy ozdabianiu cerkwi rosyjskich z Aleksego Michajłowicza, który to fakt stwierdza m. in. Sniegirew i Morelowski; wystarczy wymienić chociażby imiona Bazylego Poznańskiego i Stanisława Łopuckiego. Ziemię Ukrainy stanowią zatem w tym względzie pomost naturalny i konieczny.

Skądinąd rzecz ujmując, stosunki artystyczne w samej Rusi Czerwieńskiej stwarzają dość kruche podstawy do wnioskowania o rozwoju sztuki ruskiej. Liczna kolonia ruskich malarzy w Przemyślu, Lwowie w XVI i XVII w. odbija dość rażąco od zachowanego materiału zabytkowego, naogół niecierpiącej rzędnej jakości. Stosunki w ciągu XVI stulecia między polskim i ruskim żywiołem musiały się układać pomyślnie: dopiero w dobie kontrreformacji arcybiskup lwowski Jan Dy-

mitr Solikowski (1596) wydał był ostry dekret przeciw ruskim malarzom, stwierdzając ich swoisty monopol na dzieła sztuki kościelnej, dostarczane i do katolickich kościołów. Wartość tej produkcji artystycznej nie musiała być jednak znaczna, skoro w r. 1592 delegacja lwowskiego bractwa Stauropigij prosi cara Fedora Iwanowicza m. in. o obrazy do lwowskiej cerkwi: „poneż u nas ne obretajutsja iskušhryje zoografy”; zaś, gdy w r. 1630 pożar osmolił obrazy, w cerkwi restaurują je niejaki Fedor oraz Stanisław Drier.

Nie zaprzeczają tym faktom poprawne malarzowie ikonostasów z Krasnopuszczy i Bohorodczan, jeśli się uprzytomni, że do pierwszego z nich przywiązana jest tradycja autorstwa Jana Siemiginowskiego, obrazy zaś drugiego (wystawione w częściowej liczbie 3) wykonał w r. 1705 Jow Kondzelewicz, mnich z klasztoru z Białymstoku, będącego fundacją Hulewiczów-Wojutyńskich.

Sądzę, że dałoby się w świetle tych faktów stwierdzić, że ekspansja sztuki polskiej nie tylko na ziemi ukraińskiej, lecz i w granicach Rosji jest faktem historycznie stwierdzonym — oraz, że malarstwo halicko-ruskie, którego słaby poziom formalny razil już bractwo Stauropigij niejednokrotnie mogło i nawet musiało czerpać z twórczości polskiego sąsiada.

II

Wiek XVI przeszedł na ziemiach Polski pod znakiem stylowego dualizmu. Renesansowy, wspaniały w formie mecenat obu Zygmunatów zaważył był wprawdzie przemożnie na wielu „złotychem umyślach” epoki, lecz jednocześnie w architekturze kościelnej trwał uporczywie konserwatywny styl gotycki, z którego ustalona już wymowa niechętnie się rozstaje taka osobistość, jak biskup Konarski. Co więcej, ów kościec gotycki, przybrany w dekoracyjne formy późnego renesansu tkwi jeszcze w wielu kościołach XVII w. Fakt ów wydobyl na jaw po raz pierwszy prof. Tatariewicz, któremu też zawdzięczamy znajomość specyficznej recepcji prądów renesansowo-barokowych w naszej architekturze za Wazów. Osobliwe pojęcie formy, jakie reprezentują np. tak typowe dla swego czasu kościoły Kazimierza i Lublina, były jak się zdaje ogólnopolską właściwością architektury prowincjonalnej, od której odbijały plastycznie wielkie dzieła budowlane wzorowane bezpośrednio na wzorach włoskich (Kościół św. Piotra i Pawła w Krakowie, Ujazd, Klimontów, etc.). Udział Włochów w wytworzeniu się polskiego prowincjonalnego stylu, na przełomie XVI i XVII w. nie ulega również wątpliwości, jak świadczą o tem imiona J. Balina w Kazimierzu, Albina Fontany w Kaliszu i Borku.

Jeżeli zatem tkwi w tej architekturze tradycja gotycka — to chętnie ją raczej zaliczymy na karb osobliwej woli formy, której przeciwstawiły się zwycięsko po większych miastach, rzadko zresztą rozsiane przykłady rzymskiego jezuitckiego baroku, oraz odrębna grupa budowli, wznoszonych przez architektów włosko-szwajcarskich, utrzymanych w surowych i dekoracyjnych jednocześnie wzorach późnego renesansu (np. kościół Bernardynów, Cerkiew Wołoska we Lwowie).

Na interesującym nas obszarze Rusi Czerwonej występują analogiczne fakty. Przygniatająca większość jej artystycznych pomników wznosi nieprzerwanie od XVI w. polska myśl i inicjatywa kulturalna; utworzonymi przez nią szlakami podąża również i sztuka ruska, której monumentalny wyraz przechował się w nielicznych stosunkowo murowanych budowlach cerkiewnych, o ile pominiemy interesujące niewątpliwie budownictwo drewniane.

I tutaj mamy również do czynienia ze swoistym konserwatyzmem form budowlanych. Starożytną nutę reprezentują zarówno późnogotyckie cerkwie w Załużu, Brzeżanach, Rohatynie, Bóbrce i Posadzie Rybotyckiej, skromne jednonawowe budowle, do-



Św. Jerzy, Muzeum Ruskie we Lwowie (z Turja) w. XVI (?)



Św. Eustachy, Ikona w Muzeum Ruskiem we Lwowie w. XVII



Św. Mateusz, Ikona w Muzeum Ruskiem we Lwowie (Kamieniecki Monaster) w. XVI

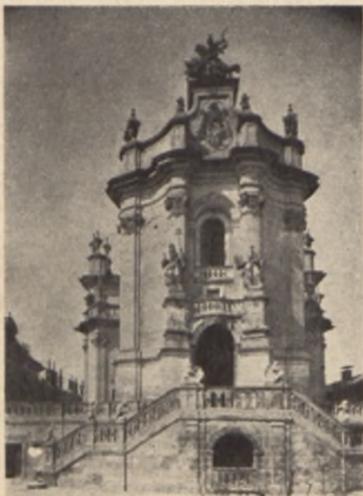


Archaniol Gabriel, Ikona w Muzeum Ruskiem we Lwowie (z Dalewa) w. XVI



Portret nieznaney osoby (według podania matki Mazepy) w Krakowskim Muzeum Narodowym

brze łączące się z prowincjonalną, wiejską architekturą Polski XVI w. o nieznacznych naogół w stosunku do niej odchyleniach, jak i XVII-nej już cerkiew Husiatina i Tarnopola, założone na planie trójkonchowym, nawiązującym do planu klasztornej średniowiecznej cerkwi w Ławrowie. Historia sztuki oczekuje wdzięczne zadanie ustalenia filiacji tych centralnych źródeł budowlanych ze sztuką europejską; obok niewątpliwiej, a stwierdzonej już zależności tego typu od klasztornej architektury Góry Athos, interesującym będzie zbadanie stylistycznych związków z romańską architekturą Katalonii (Pons, Abdera), której kościoły zdają się być ostatniem najdalej na Zachód wysuniętym ogniwem tego łańcucha form budowlanych (por. prace Puig y Cadafalcha). Jednonawowa, zrujnowana już dziś napoły cerkiew w Podgorzianach, wzniesiona w XIV w. (?) wyznacza jeden z ostatnich etapów gotyckiej tradycji na Rusi Czerwonej, podobnie jak po-



Lwów Katedra św. Jura



Cerkiew wołaska we Lwowie. Fragment

chodząca już z XVIII w. trójkonchowa cerkiewka w Michalczu, zamyka równoległe rozwijający się tradycjonalizm centralno-konchowych planów. Jeśli stwierdzimy ponadto, że klasztorna cerkiew w Uniowie zarówno w układzie swego rzutu poziomego, jak i wewnętrznym układzie mas oraz opracowaniu bryły odzwierciedla dobitnie prąd budowlany XVI i XVII w., panujące epoki w Polsce i wykazujące znane cechy symplizmu i pomowienia form sztuki barokowej — może naturalnym wyda się wniosek, że sztuka ukraińska na Rusi Czerwonej nie wykazała większego stylowego hartu niż otaczające ją zaplecze polskiej twórczości.

Stoją przeciw dwie monumentalne budowle we Lwowie, które kojarzą się niezmiernie z pojęciem sztuki ukraińskiej. Ich niepowszednie piękno łączy się niemniej stale z naszą świadomością o formach sztuki renesansu i baroku w Polsce. Są to: cerkiew wołowska oraz Katedra św. Jura. Oba te stanowiska nie zdają się wykluczać wzajemnie. Pierwsza z nich wzniesiona przez bractwo Staupigijji, jest zbiorowem dziełem Piotra di Barbona, Pawła Rzymianina, Wojciecha Kapinosa oraz Ambrożego Przychylnego (Vaberene), włoskich architektów czynnych we Lwowie i na prowincji, pracujących jednocześnie poza i przeważnie dla polskiej klienteli. Druga jest dziełem Bernarda Meretyna, zitaljanizowanego Niemca, autora szeregu kościołów oraz czarującego ratusza w Buczaczu. Wszyscy ci architekci (podobnie jak i długi szereg innych) należeli do kolonji cudzoziemskiej we Lwowie, tu pracowali i częściowo się polszczyli. Inicjatywą ukraińska miała zatem ułatwione zadanie; jedynie przy budowie cerkwi wołowskiej dałoby się stwierdzić pewną dyrektywę czy też instrukcję budowlaną ze strony samego bractwa Staupigijji, co znalazło swój wyraz w uzgodnieniu architektonicznego programu budowy z wymaganiami odrębnego liturgicznego rytuału.

III

„Libido aedificandi”, owa pasja budowlana, nie posiada odpowiednika w społeczeństwie ukraińskim XIV — XVIII w. na ziemiach Polski. Jako usprawiedliwienie, trzeba dodać, że znaczny ciężar odpowiedzialności za wnoszenie budowli użyteczności publicznej przyjęło na swoje barki społeczeństwo polskie, jako górujące w tych czasach pod względem kulturalnego dorobku. Cementując się z wolna żywioł ruski, pochłonięty szukaniem wyrazu dla swej odrębności narodowej, przygotowujący niejako powoli swą dzisiejszą jednolitość państwowego poczucia, szedł w tyle za kulturalną polską inicjatywą. Praca nad zbudowaniem drogiego słowa „Ukraina” przesłoniła robotę nad gmachem sztuki narodowej. Dziś jest ona już faktem dokonanym.

Autonomiczną wymowę form zatrzymała natomiast sztuka reprezentowana w paramentach cerkiewnych, w pierwszym rzędzie w dziale malarstwa ikonowego. Odrębny od zachodniego styl bizantyński podkreślał wydatnie różnicę obrządku liturgicznego. Jeśli nawet wystarczało ubogie cerkiewne budownictwo drewniane, rzadka ustępujące miejsca murowanym gmachom, o tyle znow zrozumiała i konieczną stawała się troska o zapewnienie swoistej świetności paramentom. Zdawna ustalona znaczenie ikony, jako plastycznego wykładnika magicznego myślenia, sprzyjało sugestywnie jej roli. Mimo całej swej prymitywności w stosunku do ikony rosyjskiej różni się ona od niej w swym pierwszym stadium remanentami gotycko-polskimi oraz obfitością rzadko stosowanych w sztuce bizantyńskiej srebrnych teli — tworząc grupę odrębną, lecz nie zawsze wysokiej klasy.

Osobliwością wiele mówiącą w sztuce ukraińskiej jest niesłychanie skąpa ilość zabytków sztuki świeckiej, czy to z architektury czy to malarstwa. W zakresie portretu utwierdza nas w tem przekonaniu chociażby przejrzanie publikacji F. Ernsta. Tem mniej dotkliwym jest fakt absencji tego działu na wystawie warszawskiej, która w swym retrospektywnym zakresie ograniczona została do sztuki cerkiewnej i kilimów. A przecież Muzeum Narodowe w Krakowie (Odział Czapskich) przechowuje dwa niezwykle interesujące znacznych rozmiarów portrety ukraińskie z XVII w., z których jeden

przynajmniej uchodzący za portret matki Mazepy, godzien był zabiegów o pozyskanie go dla tej ekspozycji.

Zabytki sztuki ukraińskiej na Rusi Czerwonej są wprawdzie wykładnikiem niezmiennego i wiecznie trwającego w historii pochodzącego i dziedziczenia form, wszakże przemożną rolę o ile chodzi o okres XVI i XVII w. odegrało tu współzycie z kulturą Polski. Tędy, przez ziemie kresowe Rzeczypospolitej, odbywała m. in. zwycięski swój pochód ku szlakom moldawsko-wołoskim gotycka kamieniarszczyzna krakowska. Czynnici dla polskiego patrycjatu i szlachty obcy artyści użyczyli swego talentu i dla budowy cerkiewnych, ilekroć zachodziła po temu możliwość i potrzeba. Skądinąd wiemy, że wprowadzono z Polski ludzi dla wykonania artystycznych prac podejmowanych w samym sercu Ukrainy, Kijowie, jak świadczą imiona Józefa Bilińskiego, dekoratora Ławry Peczerskiej w latach 1721—29, oraz nieznanego bliżej Wilnianina, Jana Chrzyciela (Niemca?), twórcy Mharskiego klasztoru

(1682 — 1701). Niezwykle skąpe natomiast są wiadomości o barokowych freskach ukraińskich w obrębie Rusi Czerwonej, zachowane bowiem resztki mówią niewiele, zaś nazwisko Łukasza Dolińskiego w sposób wątpliwy da się zmieścić w ramach tej sztuki.

Za asumpt do skreślenia tych uwag, miejscami może fragmentarycznych, acz poddyktowanych chęcią zajęcia obiektywnego stanowiska, posłużyło zdanie zamieszczone w przedmowie do katalogu wystawy, a mówiące o przenikaniu wpływów zachodnich do sztuki ukraińskiej dopiero w XVII w. Odgraniczenie się, być może nieumyślnie, o stwierdzenia wpływów właśnie polskiej sztuki, wymagało w moim rozumieniu szerszego omówienia. Uczyniłem to w przedświadczeniu, iż przypomnienie wzajemnego niejednokrotnie kapitału form sztuki polskiej i ukraińskiej narówni z wydobyciem bezpośredniego, polskiego już wkładu — przysporzy dowodów ścisłego współzycia, rejestrowanego dotąd przeważnie na innych kartach historii.

SZEWCZENKO A POLACY

Jeszcze w roku 1913, pisząc o Szewczenku, stwierdził Władysław Orkan, że tego poety w Polsce nie znają. Brak przekładów, brak polskich studjów o Szewczenku sprawia, iż pomimo coraz większego zainteresowania się społeczeństwa polskiego duchową kulturą ukraińską, nie zdajemy sobie naogół sprawy z wyjątkowego znaczenia, wyjątkowej pozycji, dla której napróżno szukalibyśmy precedensów w literaturach innych narodów, jaką w życiu narodu ukraińskiego po dziś dzień zajmuje Taras Szewczenko.

Nie znamy zupełnie ogromnej już dziś kultury o Szewczenku, tej masy studjów, pracowań, przyczynków, ktorými uczeni ukraińscy bogacą od 1906 roku „szewczenkoznawstwo”. A już najbardziej błędne i balałutne pojęcia panują jeszcze u nas naogół o stosunku Szewczenki do Polaków i kultury polskiej, pojęcia formowania pod wpływem licznych swego czasu tendencyjnych i fałszywych oświeleń zarówno ze strony rosyjskiej, jak i zresztą polskiej i ukraińskiej.

To też niewątpliwą i trwałą wartością dla określenia istoty stosunku wieszczki ukraińskiej do Polaków posiada interesujące i obiektywne studjum prof. Pawła Zajcewa („Szewczenko i Polacy”), drukowane w szewczenkowskim zeszyty tygodnika „Biuletyn Polsko-Ukraiński” (Nr. 10 z dn. 11 marca b. r.). Ten ciekawy, żywo redagowany tygodnik, który dla swej akcji pionierskiej zdołał już sobie zdobyć uznanie i szerokie grono czytelników i sympatyków, w każdym niemal numerze przynosi jakieś nowe materiały i przyczynki do stosunków kulturalnych polsko-ukraińskich.

Opierając się na obszernej literaturze szewczenkowskiej i na świetnej znajomości zarówno biografji poety jak i jego dzieł, ustala prof. Zajcew punkty styczności Szewczenki z kulturą polską od jego najmłodszych lat.

Od pierwszego opiekuna, a zapewne i nauczyciela poety, rzadcy klucza olszańskiego, który ocenił wielkie zdolności tego syna pańszczyźnianego chłopca (Taras sam dopiero w 24 roku życia zwolniony został z poddaństwa) i ułatwił 15-letniemu chłopcu wydobycie się na szerszy świat, poprzez pobyt jego w Wilnie (pracownia malarska Rustema i miłość do polki Goszkowskiej), w Warszawie (pracownia Lampiego, rewolucja listopadowa, której wybuchu był świadkiem), poprzez znajomość z kolegami-polakami z Akademji w Petersburgu i z petersburską polską kolonją artystyczną, aż do przyjaźni serdecznej, braterskiej ze współwyznawcami polakami na zesłaniu w soldaty (bez prawa pisania i malowania — według okrutnego cesarskiego rozkazu) w kraju Orenburskim: z ks. Zielonką, Zygmuntem Sielakowskim, Bronisławem Zaleskim, Wernerem i innymi, którzy go z otwartymi rękami, jak brata, do swego grona przyjęli.

Nie sposób tu streszczać obszernych wywodów prof. Zajcewa o wpływie konspiracji polskiej „Towa Braci Zjednoczonych” i „Bractwa Sw. Stanisława” na konspirację ukraińską: „Bractwo św. Cyryla i Metodego”, o łączności pracy niepodległościowców ukraińskich z myślą rewolucyjną polską, o pewnych wpływach polskich na twórczość Szewczenki.

Najwięcej nieporozumień wywołał „Hajdamacy” Szewczenki, których uważano w pewnych kołach polskich za apoteozę rzezi, nie bacząc, że stosunek swój do przeszłości, przedstawianej z całą zresztą brutalnością i nie zawsze ściśle z obiektywną prawdą, określił w III rozdziale poematu (przekład Sowińskiego):

Ot, takie to było licho
Po wszej Ukrainie!
W piekle gorzej być nie może...
A za co lud ginie?
Jednej matki jedne dzieci, —
Mogliby się bratać.

Nie, nie chcieli, nie umieli,
Trzeba się potagać!
Serce boli skoro wspomnieć:
Słowian starych dzieci
Krwia się spili, a kto winien?
Księża, jezucii...

Podobnie zresztą sformułował poeta swój pogląd na stosunki polsko-ukraińskie w przeszłości (wierzył zresztą, że ta przeszłość już nie wróci, nie powtórzy się) w ślicznym wierszu „Polakom”:

Cień na stosunki Szewczenki z Polakami usiłował rzucić, jak stwierdza w zakończeniu swej rozprawy prof. Zajcew, niektórzy Ukraińcy, pierwsi biografowie poety. Twierdzili, że „Szewczenkę przyjaciele jego Polacy rzekomo „obkrutyl” — t. zn. podstępnie skaptowali dla swojej sprawy.” Pogląd ten podchwycili skwapliwie Rosjanie. Ze tak nie było, że w stosunku swym do Polaków i Polski był zawsze niezależny i konsekwentny zresztą, wykazali już w swych pracach dr. Szczurat i Jefremow, „ale obiektywność każe nam podkreślić — kończy prof. Zajcew — że były i polskie głosy, które nie przyczyniały się do obiektywnego rozpatrzenia kwestji stosunków Szewczenki z Polakami: jedni robili z niego hajdamackiego watażkę, inni zaś twierdzili zupełnie bezpodstawnie, że „pisarze polscy pierwsi zrobili sławę Szewczenku”. Sławę sobie zrobił Szewczenko sam. A że w skarbnicy jego ducha, którą pokoleniom przekazał, są perły i ze skarbcza kultury polskiej, to jeszcze więcej podnosi znaczenie jego geniuszu twórczego: cienie ponurej przeszłości nie odstraszyły go, wierzył w lepszą przyszłość, służąc ludzkości pod sztandarem Dobra i Prawdy, na zasadach których pragnął oprzeć przyszłe stosunki obu pokrewnych a poważnionych narodów”.

Ciekawe studjum prof. Zajcewa uzupełnia artykuł dr. Łuciwa („Polacy o Szewczenku”), który zebrzał starannie głosy polskie o wieszczu ukraińskim, streszczając informację z pracy Srkroba (Wydawnictwo Ukr. Ak. Nauk, Kijów 1929) p. t. „Polskie przemówienie nad trumną Tarasa Szewczenki”, oraz urywek z pamiętnika poety i parę wierszy.

Numer szewczenkowski „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego” odda dobrą przysługę zbliżeniu kulturalnemu polsko-ukraińskiemu, zapoznając bowiem czytelnika polskiego na odcinku jednego chociaż zagadnienia z życiem, twórczością i działalnością największego ukraińskiego wieszczki-poety Tarasa Szewczenki.

Antoni Wiczorkiewicz

Nowe etapy Wystawy Grafiki Polskiej we Francji

Zorganizowana przez p. Rose Bailly wystawa grafiki polskiej, o której pisaliśmy już z okazji jej otwarcia w Wersalu, przeniesiona została do Poitiers, gdzie znalazła pomieszczenie w tamt. Muzeum Sztuk Pięknych. Koła miejscowe przyjaciół Polski urządziły w związku z wystawą „Tydzień Polski” pod przewodnictwem p. F. Mesnard prof. uniwersytetu w Poitiers, w ciągu którego ogłoszono cztery odczyty o Polsce. Prelegentami byli: p. Renard, członek ostatniej delegacji b. kombatanów w Polsce, mjr. Goundot, członek francuskiej misji wojskowej w Polsce, prof. Trouneur-Aumont, uczestnik ostatniego kongresu historycznego i p. Fugier, wybitny badacz epoki napoleońskiej.

Niezwykła frekwencja na odczytach, jak i cyfra pokaźna ośmiu tysięcy osób, które zwiędziały wystawę, świadczą wymownie o efektywności pracy organizacyjnej p. Bailly. Z Poitiers wystawa ma być przeniesiona do Nantes.

EUGENJA
WEBER

DOSTOJEWSKI I TEATR

Spowodu wystawienia „Zbrodni i Kary” na scenie Teatru Polskiego.

W niedługim czasie ujrzeć mamy w Teatrze Polskim inscenizację **Zbrodni i Kary**. Dostojewski w teatrze nie jest nowością. W ciągu ostatnich lat trzydziestu, przerabiano dla sceny wiele jego utworów. Przed wojną w Rosji wystawiano **Idjotę**, **Braci Karamazowych**, **Zbrodnię i Karę** — dwie ostatnie powieści nawet w kilku przeróbkach. Po wojnie emigranckie teatry rosyjskie grały **Braci Karamazowych**, **Wiesie Stiepanczikowa** i jej mieszkańcy, a niedawno, w styczniu r. b. Rosyjskie Studium Dramatyczne w Warszawie wystawiło z powodzeniem własną przeróbkę **Strykowego Snu**. Poza tym można wskazać na szereg przedstawień utworów Dostojewskiego na scenach europejskich, zwłaszcza we Francji i w Niemczech.

Oddawna już Dostojewski budził żywe zainteresowanie reżyserów. Trwałość jego świadectwa, że wynika ono z istoty twórczości Dostojewskiego. Merezkowski w swej książce **Tolstoj i Dostojewski** wypowiada, między innymi, taką myśl: gdyby w epoce jego powieści nie była panująca forma literacka, Dostojewski niewątpliwie pisałby nie powieści, ale tragedję. Powyższe słowa rzucają światło na tajemniczy związek, jaki istnieje pomiędzy Dostojewskim — powieściopisarzem a Dostojewskim — inspiratorem reżyserów i aktorów.

Twórczość jego zawiera wszystkie specyficzne elementy tragedji. A więc przede wszystkim ciągłość akcji: niezależnie od czasu, w którym miało miejsce, każde zdarzenie rozgrywa się przed oczami czytelnika lub widza. Nie mieszczą się w planowym biegu czasu, w którym rozwija się bieg zdarzeń (niezbędny warunek utworu epickiego) Dostojewski zrywa z tradycją epicką. Początek i rozwiązanie tragicznego konfliktu przesuwa się przed czytelnikiem i widzem w nieprzerwanej akcji, w czynach — zdarzeniach powieści — i słowach — dialogach pomiędzy działającymi osobami, zajmujących w powieści Dostojewskiego dominujące miejsce.

Udział jednostki w toczących się zdarzeniach i jej odpowiedzialność stanowią ośrodek, w którym toczą się konflikty w dziełach Dostojewskiego. Ogólnoludzka i wieczna treść walki wewnętrznej, toczącej się poza literalnym sensem jego powieści, wyczuwa każdy, kto umie je czytać. Poza prawami czasu rozwija się tam tytaniczna walka w dziedzinie moralnej, religijnej, społecznej. Określić ją można słowami samego Dostojewskiego: „Tu szatan walczy z Bogiem, a polem bitwy — serca ludzkie”. (**Bracia Karamazow**).

Zwykły temat powieści Dostojewskiego — to wina jednostki, naruszenie przez nią praw moralnych, wyższych nakazów sumienia albo praw spółzycia społecznego. Wina rodzi cierpienie, przez nie bywa odkupiona, lub też ulega odwetowi obrażonego prawa. Tragiczne rozwiązanie — oczyszczenie się, wyzwolenie przez cierpienie — to stały watek twórczości Dostojewskiego. W szczególności zaś **Zbrodnie i Kara**, której wystawienie dało powód do napisania niniejszego artykułu, jest tego wymownym przykładem. Walka wewnętrzna, odbywająca się w sercu człowieka, rola jednostki i jej odpowiedzialność, odwet (zewnętrzny i wewnętrzny) za spełnioną winę, za przestąpienie prawa moralnego, odrodzenie przez cierpienie — taka jest treść tej tragedji, napisanej przez Dostojewskiego w formie powieściowej. Nie dziw, że elementy tragedji, w tak wysokim stopniu wypełniające powieści Dostojewskiego, pobudzają wyobraźnię reżysera, zadając wcielenia scenicznego.

W 1911, przed wystawieniem **Braci Karamazowych** na scenie Vieux-Colombier w Paryżu, André Gide, mówiąc o bohaterach powieści Dostojewskiego, sądzi, że „de toutes les créations de l'imagination ou de tous les héros de l'histoire il n'en est point qui méritent davantage d'y monter”. Wyraża jednak obawę — „si nous reconnaitrions leurs voix déconcertantes à travers les intonations concertées des acteurs”. Obawa ta jest uzasadniona i dziś, jakkolwiek od 1911 roku wystawiano Dostojewskiego wielokrotnie na scenach rosyjskich i europejskich.

Dostojewski w swych utworach nigdy nie wysuwał na pierwszy plan postaci typowych. Nawet postaci drugorzędne (Luzin w **Zbrodni i Karze**, von Lembke w **Biesach**, prokurator w **Braciach Karamazowych** i t. d.), wyposażone w cechy typowe, nigdy nie przeistaczają się w typy w tym znaczeniu, jak np. bohaterowie komedji Ostrowskiego. Każda z tych drugorzędnych postaci odznacza się tak swoistymi i jej tylko przynależnymi cechami indywidualnymi, że jej typowość nigdy nie nabiera decydującego znaczenia w artystycznym jej ujęciu. Główne postaci Dostojewskiego są jedyną i niepowtarzalną w swej indywidualnej istocie. Wynika to ze stosunku autora do swych bohaterów, którzy nigdy nie byli dlań i być nie mogli ludźmi-schematami, uosobieniami pewnych idei. Dla Dostojewskiego człowiek był celem poznania, i każdy jego bohater był sam w sobie celem artystycznym. Każda indywidualna postać pomyślana była przez Dostojewskiego i wykończona artystycznie z taką dokładnością i pełnią, jakiej zazwyczaj nie wymaga się w literaturze przy tworzeniu postaci typowych.

W ostatnich latach swego życia Dostojewski często i chętnie przypominał począt-

kującym pisarzom, że niema nic bardziej interesującego nad duszę ludzką, i że żadna, najplonniejsza nawet wyobraźnia nie potrafi stworzyć tego, co odnalina nam najprostsze, najbardziej, zdawałoby się, codzienne życie. W takim prostym, codziennym życiu Dostojewskie odkrył te sytuacje i charaktery ludzkie, z których stworzył się jednolity, organicznie świat fantastyki i prawdy życiowej jego powieści-tragedji.

Podobnie jak Tolstoj — artysta biegunowo różny, lub jak Balzac, którego wpływowi uległ — Dostojewski stworzył jak gdyby odrębny świat, odrębną planetę, załudnioną stworzonymi przez niego samego ludźmi, zgola niemożliwymi nawet do pomysłenia na jakiejś innej planecie. A jednak ludzie ci są autentyczni, przekonujący, ponieważ autor, usiłując pochwycić to, co w nich jest ogólnoludzkie i wiekuiste, nie zapomina ani na chwilę o ich ludzkiej naturze, o współistnieniu w człowieku ducha i ciała, ich wzajemnej zależności, ich wzajemnemu na siebie oddziaływanju. Stąd, obok przenikania w najgłębsze tajniki duszy ludzkiej, ludzkiego rozumu i serca, uderzająca nas, nieustannie zwrócona uwaga na cieleśne oblicze człowieka. Dość przypomnieć jak **Mitja Karamazow**, posądzony niewinnie o zabójstwo ojca, podczas aresztu i badania w Mokrem, dręczy się myślą o potwornym kształcie wielkiego palca u swej prawej nogi. Dość przypomnieć ów wpływ, jaki wywierają na uczucia **Miti** odpychający, obrażający go wygląd zewnętrzny ojca: „Może nie zabiję, a może — zabiję. Boję się, że nagle, w tej samej właśnie chwili, nienawistną mi stanie się jego twarz. Nienawidzę tę jego grykę, jego nos, jego oczy, jego bezwstydną, drwiący uśmiech. Czuję doń osobiste obrzydzenie”.

Niepokorny wicher na głowie **Szatowa (w Biesach)**, który tak śmieśnie rzuca się w oczy wszystkim po wymierzeniu przezeń policzka **Stawroginowi**, mocna piegowata pięść, „haniebna” w własnym mniemaniu twarz — wszystko to jest nierozdzielnie związane z jego najgłębszą istotą psychiczną, wszystko to odgrywa swoją usprawiedliwioną rolę w tragicznym rozstrzygnięciu jego osobistego losu.

Jeżeli tak wyłączne i niepowtarzalne są fizyczne, zewnętrzne cechy bohaterów, to jak skrawki jeszcze zarysowanej się ich indywidualne różnice w tej dziedzinie, którą autor przeważnie posługuje się dla ich uwydatnienia, mianowicie w rozmowach, w tych osobliwych wywnętrzaniach się czy spowiedziach, które tak są charakterystyczne dla manjery Dostojewskiego. Tu każdy bez wyjątku mówi swoim własnym językiem. Sam sposób mówienia, słownik wyrazów, zwroty i chwytły są tak wielorakie, jak wielorakie są istoty ludzkie. Mowa — to świadek ważny, niekiedy zdzierający nielitościwą maskę. Autor nie nam nie mówi o **Marmeladowie**. Ale **Marmeladow** w swej spowiedzi mówi nam o sobie daleko więcej, niż te zewnętrzne fakty, z których pogardliwie wysmiewają się restaurator i jego codzienni goście. Osobliwe i własne słowa wynajduje pijaczyna **Marmeladow**. Osobliwymi i jemu tylko właściwymi słowami wyostrza, jak brzytwą, swoją „kazuistykę” **Raskolnikow**, po swojemu modli się owej straszliwej nocy **Mitja Karamazow**, po swojemu opowiada o sobie przed swą ostatnią „podróżą” **Swidrygajłow**.

Zagadnienie ogólnoludzkie poruszane w powieściach Dostojewskiego, ich pokrewieństwo z tragedją klasyczną, nadają im, pomimo „rosyjskości” pisarza, charakter najbardziej ogólny i niemal kosmiczny. Odrwana od obyczajowości i typowości, zesrodkowana na zagadnieniach natury moralnej, zagłębiająca w psychologję ogólnoludzką, tworząca Dostojewskiego nie posiada charakteru narodowego, jaki cechuje nietylko pisarzy obyczajowych jak **Ostrowski** i **Pisemskij**, ale nawet **Tolstoja**, **Leskowa** i **Turgieniewa**. W przytoczonym już wyżej artykule, napisanym w 1911 r. z okazji wystawienia **Braci Karamazowych**, **André Gide** zwalcza ustalony we Francji od czasów **Melchiora de Vogüé** pogląd, że Dostojewski jest „zbyt rosyjski” i przez to obcy i niezrozumiały dla czytelnika europejskiego. „L'intellectuel Ivan, le passionné Dmitri, Aliocha le mystique, semblent à eux trois se partager le monde moral que déserte honteusement leur vieux père, — et je les sais exécuter déjà sur maints jeunes gens une domination indiscrète; leur voix ne nous paraît déjà plus étrangère; que dis-je? c'est en nous que nous les entendons dialoguer”.

Stopniowo czytelnicy europejscy zaczęli słyszeć swem uchem wewnętrznym głosy bohaterów Dostojewskiego, poza granicami krajów i epok. Dostojewski jako autor **Dziennika Pisarza** utracił aktualność i znaczenie. Dostojewski jako artysta zatrzymuje swe miejsce w literaturze światowej.

Wyżej już mówiliśmy, dlaczego powieści Dostojewskiego słusznie tytułem budziły zawsze zainteresowanie świata teatralnego. A jednak każda przeróbka sceniczna jego utworów stwarza szereg nowych zagadnień. Wystawić je i grać jest zarazem łatwo i trudno. Role bohaterów **Ostrowskiego** lub

Czechowa nie wymagają głębszego wnicania w myśli autora. Dostojewski stawia pod tym względem nowe wymagania. Nie dość jest zapoznać się z obyczajowością, która u Dostojewskiego nie gra żadnej roli. Nie dość uchwylić rysy typowe i odgadnąć charaktery. Trzeba przeniknąć istotę świata Dostojewskiego tak, jak to zrobił on sam, przenikając i rozwijając przed nami obraz swego fantastycznego, nierealnego i niemniej przeto autentycznego Petersburga. Trzeba przejrzeć tajemnicę każdego bohatera.

Trzeba przyznać, że Dostojewski sam ułatwił bardzo te zadania reżysera i artystów, przedstawiając każdego ze swych bohaterów z jaszkrawością wyrazu właściwą autorowi tragedji klasycznej. **Raskolnikow**, **Marmeladow**, **Swidrygajłow**, **Sonia** — posiadają wszystkie rysy niezbędne dla ich odtworzenia na scenie. Postacie ich nie zostawiają miejsca dla domysłów o dowolnych interpretacjach.

Postacie drugoplanowe Dostojewskiego mają dlań tę samą wagę co postaci występujące przezeń na pierwsze miejsca. Każda z tych postaci drugiego planu jest ewentualnym głównym bohaterem jednej z nienapisanych powieści Dostojewskiego. W **Zbrodni i Karze** możliwości takie ukrywa w sobie postać glupkowatego stronnika idei postępowych **Lebiczatnikowa**, przedstawiciela banalności **Luzina**, a nawet służącej **Nastasi** i gospodyni **Raskolnikowa Paszeńki**, o której mówi tylko, że jest trochę „otyła” i „wstydliwa ponad wszelką potrzebę”. Postać zabitej potem przez **Raskolnikowa lichwiarki**, dwa razy tylko zjawiająca się na krótko przed oczami czytelnika, jest tak całkowita i definitywna, że nie brak niczego dla jej odtworzenia na scenie. To samo powiedzieć można o przypadkowej ofierze **Raskolnikowa**, siostrze **lichwiarki**, **Lizawecie**, i o malarzu **Mikolce**, oskarżającym siebie o niepełnione przestępstwo przez chęć dobrowolnego cierpienia.

Szczególne miejsce w powieści zajmuje postać sędziego śledczego **Porfiry**, której interpretacja sceniczna nastrocza równie wielkie, jakkolwiek innej natury, trudności, jak postaci **Raskolnikowa** i **Swidrygajłowa**. Autor kazał mu grać rolę narzędzia sprawiedliwości, wymierzającego przestępcy karę podwójnie okrutną. Jako zjawisko obyczajowe **Porfiry** jest prawie niewiarygodny; pod względem psychologicznym i artystycznym jest całkowicie przekonujący. Myślący i wnikliwy artysta dramatyczny znajduje w powieści wszystkie te drobne ale niezbędne wskazówki, które pozwolą mu odtworzyć ludzką postać **Porfiry** i znaleźć w popychającej go poza granice jego obowiązków namiętność myśli. Wszystko to w powieści da się znaleźć. **Porfiry**, wciąż tylko rozmawiający **Porfiry**, nie mniej od innych, jest też jednym z potencjalnych głównych bohaterów nienapisanej przez Dostojewskiego powieści. Możliwość te dzieli **Porfiry** z przeciwstawną poniekąd mu postacią prokuratora z procesu **Miti Karamazowa**.

Interpretacja sceniczna postaci **Raskolnikowa** i **Swidrygajłowa** nastrocza inne trudności. Ich procesy wewnętrzne są całe ukryte, zatopione w głębinach, i zewnętrznie zjawy ich mówią tylko do wtajemniczonych.

Interpretacja sceniczna tych dwóch postaci prowadzi do zagadnienia zasadniczego, jak należy wystawić Dostojewskiego w teatrze. Reżyser musi tu odpowiedzieć sobie na pytanie, do jakiego zwraca się widza. Jeżeli będzie to widz przypadkowy, odległy od wewnętrznych zagadnień Dostojewskiego, niewtajemniczony, wówczas interpretacja sceniczna powinna zostać uproszczona, oddzielona od tych myśli, mąk i „spowiedzi” bohaterów, które nie są bezpośrednio związane z biegiem akcji. I wówczas nawet z żywiołowej twórczości Dostojewskiego pozostanie dość szlachetnego materiału scenicznego. **Raskolnikow** i **Swidrygajłow** utracą wprawdzie część swego znaczenia, staną się, razem z całością sztuki, mniej skomplikowani, niemniej jednak i taka przeróbka sceniczna **Zbrodni i Kary** będzie całkowicie usprawiedliwioną.

Nakrótka przed początkiem wielkiej wojny **Moskiewski Teatr Artystyczny** wystawił **Braci Karamazowych**. Przedstawienie obejmujące znaczną ilość obrazów, wypełniało dwa wieczory. Towarzyszyło mu czytanie ustępów, wiążących całość akcji i niemożliwych do oddania na scenie. Autorzy przeróbki zrezygnowali z przeniesienia na scenę wszystkich rozdziałów odnoszących się do religijnej strony powieści. Pomimo tych skrótów przeróbka okazała się doskonałą: w ciągu dwóch wieczorów na scenie nie powiedziano ani jednego słowa, które nie wychodziłoby spod pióra Dostojewskiego. Złudzenie było tak potężne, że nawet najbardziej niewymowne sceny, sama nawet rozmowa **Iwana Karamazowa** z diabłem stawała się rzeczywistością...

W wersji teatralnej **Zbrodni i Kary** największą trudność będzie niewątpliwie nastrocza oddanie procesu wewnętrznego, który przyprowadził **Raskolnikowa** do przestępstwa „próby” — do zabójstwa **lichwiarki**. „Próba” ta miała mu wyjaśnić, czy jest tyl-

ko nędzną „istotą drzącą” czy też człowiekiem „mającym prawo”. Po zabójstwie **Raskolnikow** odkrył, że nikt z „Napoleonów” nie zastanawiałby się nad swoim prawem, tylko poprostu i bez żadnych wątpliwości przeszedłby po trupie starej kobiety. Samo już wątpienie o swoim „prawie” ukazało mu, że nie miał prawa zabijać. Po zabójstwie w myśli jego powstaje proces nowy, w wyniku którego **Raskolnikow** przychodzi do przekonania, że zabił nie **lichwiarkę**, ale samego siebie. Wreszcie cierpieniem okupuje podwójne przestępstwo: zabójstwo **lichwiarki** i samobójstwo moralne.

Raskolnikow, zdolnego do potępienia siebie w swem sumieniu i rozumiejącego, że **Sonia Marmeladowa** też wykroczyła przeciw przykazaniu **Chrystusowemu** — kocha bliźniego jak siebie samego, ale nie wiec — i popełniła samobójstwo moralne, depcząc w sobie obraz i podobieństwo boskie, **Dostojewski** powołuje do nowego życia, wolna od buntowniczej pychy i skłania do akceptacji świata.

Drugiego przestępcę przeciw prawu moralnemu, **Swidrygajłowa**, czeka inne, okrutne przeznaczenie. **Swidrygajłow** „lubi rozpustę”. „W rozpucie jest przynajmniej coś stałego, coś opartego na samej naturze i niezależnego od fantazji, coś, co w krwi naszej stale przebywa, jak wiecznicie tłący się węgiel, zawsze palący, którego długo, nawet w późniejszym wieku, zgasić nie można”.

Swidrygajłowa, biorącego ów „tłący się węgiel” za najwyższy cel istnienia i depczącego dlań prawa boskie i ludzkie, **Dostojewski** potępił jeszcze przed tragicznym końcem jego dziwnego życia. Nie bez powodu „wieczność” wydaje mu się „jednym pokoiem w rodzaju wiejskiej łaźni, zakopconym, z pięćdziesiątą we wszystkich kątach”. Na pobyt w tej wieczności z pajęczyną **Dostojewski** skazał swego bohatera, niezdolnego do moralnego odrodzenia się przez cierpienie...

Organiczna zawartość wewnętrzna utworów Dostojewskiego nie pozwala na ich interpretację tendencyjną, na naginanie ich w wersjach zachowawczych do idei obcych autorowi. Przy zachowaniu rzetelnego stosunku do autora, wszystkie, nawet najbardziej skrócone wersje sceniczne Dostojewskiego będą całkowicie dostępne i zrozumiałe dla widzów.

„O czym porządny człowiek może mówić zawsze z największą przyjemnością?” — pyta zgorzkniały bohater **Zapiszek z Podziemia** (napisanych o dwa lata wcześniej od **Zbrodni i Kary**) — i odpowiada: „o sobie”. Pytanie pełne ironji i złośliwości, którą zdradza nienawistne dla Dostojewskiego słowo „porządny”. A jednak Dostojewski nietylko wiedział, ale głęboko wierzył zawsze, że rzeczą najbardziej interesującą na świecie jest życie wewnętrzne człowieka, i że najsilniejszym popędem człowieka jest uwaga ciągle na jego życie wewnętrzne skierowana, odkrywająca mu jego wciąż nową treść.

Z drugiej znów strony Dostojewskiisał tragedję w formie powieści. **Raskolnikow**, **Swidrygajłow**, **Stawrogin**, trzej bracia **Karamazow** i ich ojciec należą do kategorii **Hamleta**, **Otella**, **Lady Macbeth**.

Dlatego też spuścizna Dostojewskiego przeznaczona jest do podwójnego życia. Książki jego były i będą „wiecznymi towarzyszami podróży”, jak nazywa niektórych autorów **Dymitr Merezkowski**, myślącego i cierpiącego czytelnika. Dostojewski będzie zawsze towarzyszem samotnych nocnych rozmów swego czytelnika. Ale bohaterowie jego mogą również mówić głośno, do wszystkich, o sprawach najważniejszych.

Sztuka przeniesienia jego powieści na scenę zależy przede wszystkim od poczucia umiaru. Tylko zmysł artystyczny reżysera i aktorów może odróżnić, o czym bohaterom Dostojewskiego wypada mówić ze sceny.

PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Jak się dowiadujemy, dn. 15 maja r. b. wyruszyć ma ze Lwowa **Pielgrzymka do Ziemi Sw.** organizowana przez Komisarjat Generalny Ziemi Sw. na Polskę, oraz Ligę Katolicką w Katowicach. Protektorat nad Pielgrzymką i Kierownictwo Duchowne objął J. Eks. Ks. Biskup Śląski — Stanisław Adamski. Organizatorzy Pielgrzymki powierzyli jej techniczne przeprowadzenie Polskiemu Biuru Podróży „FRANCOPOL” w Warszawie, ul. Mazowiecka 9, tel. 206-73 i 286-30, które przeprowadziło w lutym r. b. Pielgrzymkę Jubileuszową do Ziemi Sw. ku zupełnemu zadowoleniu organizatorów i uczestników. Wspomniana Pielgrzymka będzie najtańszą ze wszystkich, które dotychczas kiedykolwiek były organizowane, mianowicie, cena udziału, łącznie z paszportem zagranicznym, przejazdami kolejowymi, okrętowymi, autobusowymi, całkowitem utrzymaniem i t. d. wynosić będzie zaledwie 690 zł.

DYSKUSJE

STYLIZUJEMY SIĘ

Powstanie Polskiej Akademii Literatury jest faktem nietylko realnym, ale i symbolicznym. Nietylko powstała instytucja, mająca określone cele i spełniająca pewne czynności, ale powstał również pewien symbol, pewien styl. Nietylko to jest ważne, że piętnastu wybitnych pisarzy polskich zostało wyróżnionych zaszczytnym tytułem akademika, ale znacznie ważniejsze jest to, że koło tej instytucji wytworzyła się pewna atmosfera, że Akademia jest źródłem pewnych sugestii, wpływających na ukształtowanie się stosunku społeczeństwa do literatury, że reprezentuje nazewnątrz pewien styl polski w znaczeniu najszerzym, już nie stylu pisarskiego, ale stylu kultury polskiej.

To są sprawy trudno uchwytnie, a równocześnie wymagające zdecydowanego, jasnego kierownictwa, sprawy, na których, bardziej może, niż na innych odbija się każde fałszywe posunięcie. Pomyłka, choćby duża, w sprawach potocznych może pociągnąć za sobą niepożądane następstwa, ale łatwiej ją naprawić. Bo tu grozi tylko błąd, tam — gaffa. A naprawianie gaffy — jest tylko drugą gaffą, a więc czemś „grzebiącym”. Zarzuty w tych materjach są szczególnie trudne wskutek nieuchwytności sfery zjawisk, której dotyczą — trudne do sformułowania i równie trudne do odparcia. Dlaczego powinno być tak, a nie inaczej — na to niema reguł. A raczej są, ale natury tak złożonej i subtelnej, że trudno wyciągać je na forum dyskusji publicznej.

Ale mimo wspomnianych trudności, rozstrzygać te sprawy trzeba. Na to niema rady.

Mam wrażenie, że jedna przynajmniej z nich dojrzała do omówienia. To sprawa fotelowa. Ale przedewszystkiem trzeba tu odsunąć cały balast płaskich żartów, które są specjalnością Warszawiat, ilekroć na warsztat dyskusji wyjdzie temat, nastrożający okazję do „pikantnej” gry słów. Tę falę rytualnego głupstwa trzeba przeczeć.

Osnową sprawy była potrzeba stworzenia fundamentu tradycji dla nowopowstałej instytucji. Foteliści wychodzili ze słusznego założenia, że ten fundament jest potrzebny, że to sprawa dużej wagi, że nie można na nią patrzeć przez „rurę od barszczu”, ale trzeba wczuć się w jej imponowalność. I foteliści mieli rację. Niestety, antyfoteliści — z jedynym bodaj wyjątkiem p. Tadeusza Święcickiego — rzucili się na fotelistów ze swoimi zardzewiałymi strzałkami kiepskojęzycznych dowcipów. Wyżerkę mieli naturalnie świetną, no bo jakże: „fotele” — to przecież siedzenia, a jak siedzenia to — myśleli sobie — jesteśmy w domu. To nasza domena, wiemy co o tem myśleć i co na ten temat „trzeba” powiedzieć. Tak — „trzeba”. Bo warszawski (i nietylko warszawski) feljetonista wyrzeknie się wszystkiego, tylko nie sposobności do najgłupszego bodaj żartu, skoro wchodzi w grę przedmiot jego kultury: siedzenie. Na tym odcinku czuje się panem wszechwładnym, tu jest ojczyzna jego.

Te głupkowane docinki wyszły fotelistom tylko na dobre. Sprawę pogrzebano w witzu. Sprowadzeniem dyskusji na kuchenne schody, przesądzono w oczach opinii los pozycji. Zamiast ośmieszenie „fotelizmu”, o co dowcipnisiom chodziło — uniemogliwili dotarcie do opinii publicznej rzeczowych argumentów antyfotelistycznych.

A wydaje mi się, że o argumenty takie nie trudno. Podstawą tradycjonalizmu jest ciągłość. Ciągłość wysiłku, przekazywanego z pokolenia na pokolenie, ciągłość obyczaju, ciągłość pracy. Ta ciągłość kapitalizuje się we wzmocnionem poczuciu wagi tego, co się robi, w łączności z historią, w poczuciu istnienia tego duchowego zaplecza, bez którego nasze czyny zawałyby w próżni. Ale podstawą tej ciągłości może być tylko coś konkretnego, coś co istniało, jakaś postać wysiłku, pracy, jakiś żywy prąd psychiczny, który pokolenie odchodzące przekazuje następcy. Stąd że sama tradycja zalicza się do imponowalności, że nie da się ściśle odważyć i odmierzyć — nie wynika, aby można ją było powołać z dnia na dzień, dekretem czy postanowieniem jakiejś grupy ludzi. Choć sama nieważka i nieuchwytna — tkwi korzeniami w życiu i historii; w historii prawdziwej, nie zmyślonej.

Grzechem naszych fotelistów nie jest ich miłość tradycji. Ale jest nim to, że ją pojęli

mechanicznie i zewnętrznie. Ze ta ich nąprędce sfabrykowana tradycja jest tylko imitacją tradycji. Taki tradycjonalizm „uchwalony” na posiedzeniu nie ma w sobie nic z tej mocy wiążącej i obowiązującej, którą ma tradycja prawdziwa. Przypomina gest nuworysza, zamawiającego u malarza cykl portretów, sporządzonych à l'antique, portretów, które mają uświetnić świeżo umeblowane salony.

Będzie to doskonale, kiedy po najdłuższem życiu Kadena-Bandrowskiego (a życie jego obliczam najmniej na lat sto pięćdziesiąt) fotel, na którym zasiadał, zostanie ochrzczone jego nazwiskiem i przekazany pisarzowi bliskiemu Kademu duchem; — ale fotel Reja czy Kochanowskiego, nazwany „tak sobie” — to jakaś teatralna improwizacja, której niesposób wziąć serio. Można tak sobie, nazwać ulicę imieniem wielkiego pisarza, — i dla potrzeb ulicy takie mechaniczne nawiązanie do tradycji literackich narodu wystarczy. Ale Akademia nie może poprzestać na tak zewnętrzny, dekoracyjny stosunek do tradycji. Związki muszą być głębsze, organiczne. Z tego stanowiska rzecz biorąc, jedno jedyne nazwisko Zeromskiego wiąże się ściśle z istnieniem Akademii, Zeromskiego — jej inicjatora. Związek ten możnaby uczcić w sposób bardziej nawet uroczystszy niż nazwanie jednego z foteli akademickich fotelem Zeromskiego. Uważam że wprowadzenie jego nazwiska na czoło samej instytucji jako „Akademii imienia Zeromskiego” byłoby słusne i obiektywnie usprawiedliwione.

Skożo już mówimy o stylu i stylizacji, trudno pominąć pewną sprawę zasadniczą. Mówi się: uczcić pisarza. Ale zbyt mało zastanawiamy się nad tem, jak mu tę cześć okazać. Powstała Akademia Literatury, członkowie jej otoczeni są nietylko glorią pisarską, ale i wywyższeni społecznie. Są, jak to mówią, na świeczniku. — Każda sława ma swoją estetykę, a rodzaj tej estetyki i jej zgodność z charakterem człowieka i zawodu jest zagadnieniem, którego nie trzeba lekceważyć. Inaczej okazujemy cześć wielkiemu wodzowi, inaczej mężowi stanu, inaczej uczoneму lub artyście. Społeczeństwo z głębszą kulturą, a za takie uchodzimy, musi wyrobić sobie całą skalę tej estetyki zaszczytu. Nie można tu uciekać się do jakiegoś ogólnego szablonu, stosowanego do wszystkich. W Polsce pamiętają o tem trzeba szczególnie, jako że choć jesteśmy starym narodem, ale młodem państwem. Państwem, które powstało na zgłiszczach świata zoranego przez wojnę. Oręż powołał nas do nowego życia państwowego, a postać koło której skupia się historia Polski dzisiejszej — to postać wodza. Cóż tedy zrozumiałszego niż to, że cześć oddawana człowiekowi — to w pojęciu dzisiejszego pokolenia cześć oddawana wodzowi? A ten rodzaj cześci ma swoją odrębną estetykę. Estetyką krótkiego żołnierskiego gestu.

Ale co począć z pisarzem? To przecież inna species.

Pisarz jest w pewnym sensie przeciwieństwem wodza. Wódz operuje masami, jest wielkim kondensatorem energii; jednostki

wojskowe — to indywidualności, z którymi ma do czynienia. Wielkość jego na tem polega, że umie różnorodną masę przetworzyć w jeden mechanizm, ożywiony jednym duchem, doskonale zdezindywidualizowany, z psychiką zamkniętą na wszystko co ludzi dzieli, a otwartą tylko na to co ich łączy w woli czynu i gotowości do ofiar.

Pisarz schodzi na niziny, do człowieka. Nie obca mu jest żadna jego słabość, żadne wahanie, żaden upadek, żadna kapitulacja. Zna — to prawda — i jego wzloty, moc, bohaterstwo, ale i intencją spojrzenia pisarskiego jest zawsze ogarnięcie człowieka od stóp do głów, człowieka jakim się staje w naszych oczach z minuty na minutę. Im pisarz większy, z tem większą wyrazistością przestrzega związek istniejący pomiędzy nim a jego modelem-człowiekiem. Niema zawodu tak zrównywiającego ludzi z sobą, jak zawód pisarza, ale zrównywiającego nie w jakiejś jednej wybranej reakcji, ale właśnie w ich mnogości rozczepieniu, słabości, różnorodności. Taki kolekcjoner serc w przeciwieństwie do woda trzyma się raczej pochyło. Duma przeszkadzała mu. Nie może być dumy; bo nie widziałby człowieka. Pozycję ma niezwykle trudną: musi zachować dystans do modelu jako artysta, jednocześnie wczuwając się całą siłą uczucia w rytm życia, o którym pisze.

Ci wielcy dziwacy ludzkości, waga buntów, tropiciele słabości i niedzy ludzkiej, nie mogą wymagać, by ich noszono na tarczy. Przyznam się, że jeśli o mnie chodzi, to zwykły order na piersi pisarza razi mnie swoją paradoksalnością. Trzebaby dla tych zbieraczy dusz wynaleźć jakiś inny sposób honorowania, dostosowany do ich, bądź co bądź „chorobliwego” zawodu.

Kaden przyjechał niedawno z Paryża, gdzie obcował intensywnie z „kwiatem” literatury francuskiej, a wrażenia swoje spisał w prześlicznych feljetonach, drukowanych w „Gazecie Polskiej”. Mam wrażenie, że silnie przejął się obyczajowością francuską i że radby niejedno z niej przemieścić na nasz grunt. Tembardziej to jest zrozumiałe, że właśnie Francja wspaniale umiała pogodzić te różne rodzaje estetyki zaszczytu. Role pomiędzy pisarzy są nietylko rozdane, ile same się rozdały. Wyraża się w tem geniusz narodu, dyktujący nieomylnie poszczególnym ludziom, jakie mają zająć miejsce, jaką wziąć rolę. Również zagadnienie czci, oddawanej pisarzom jest tam unormowane w sposób naturalny. Niema obawy o zapanowanie jakiegoś sztywnego „generalskiego” ceremonjału tam, gdzie wrodzony sceptycyzm i ta pozornie dobrodusza a w istocie wiekowa praca pokoleń zdołała *bonhomie* ścierać kanty wszelkiego niesmacznego zelatorstwa. Ludzie — że użyję wyrażenia Kadena — umieją się czuć gawronami i jednocześnie nic nie tracić ze swego naturalnego i z nieskończoną sprawiedliwością społeczną odmierzonego dostojęstwa.

Ale we Francji mierzy się na metry, u nas na łokcie. O tem trzeba pamiętać. Przeszczerpanie manier francuskich na nasz grunt literacki byłoby nietylko niesłuszne, ale nieraz zabawne... Byłoby potroszę — co tu ukrywać — zaczynaniem od strojenia się w cylinder przy widomych niedoborach w innych częściach garderoby. Z sugestji francuskiej zastrzymajmy jedno: *plus de souplesse* — bez czego murowany śmiech na sali...

J. E. Skiński



NOWE POEZJE

Władysław Kościelski. Tercyny. Biblioteka Polska. Warszawa.

Atmosferę ekspresji wierszy niedawno zmarłego poety, zawartych w tym zbiorcu, możnaby porównać do klimatu, jaki otacza człowieka skrupulatnie przestrzegającego form towarzyskich. Klasycystyczne stylizacja, słownictwo i schematyczne formy obrazowania, zaczerpnięte to ze starych modlitewników i psalmów („Lecz Tyś okiełzał mego rumaka i założył mi twarde wędzidło”, „niedarmo w Twej chorągwi służę”, „nie napróżno piersi pancerz Twój oblekły” i t. d.), to z poezji staropolskiej lub romantycznej („Miałebym ludzkim uszom śpiewać gwoli?”, „helmu się zbęde, odrzucę pawęzę”, „Nieczas, gdy wysnął kominiek, na długich dumań przędziwa, na skroń przy skroni spoczynek” — przykładów można czerpać dowoli w każdym miejscu zbiorcu) — mają swoisty posmak formuł, które kiedyś pełne były żywej treści, a teraz stały się tylko symbolami pulsującego w nich życia minionych epok i ludzi. Jest w takim wyrazie formalnym rys arystokratyzmu, lub raczej konserwatyzmu, zapatrzonego w tradycję.

Jednak mimo jednostajnej tradycyjnej formy (dziesięciowiersze, złożone z trzech tercyn i wiersza zamykającego tę trójkę), mimo pewnej szablonowości przenośni i obrazów, wiersze Kościelskiego pociągają, a to dzięki subtelnemu liryzmowi, który je przepaja i dzięki ładunkowi dojrzalej refleksji w nich zawartej. Wiersze te mogą służyć dowodem, jak potrzebny jest lirycy prócz czynnika uczucia i obrazu, czynnik myśli.

Męcząca, nudna wreszcie bufonada i jałowość poezji, opartej tylko na grze skomplikowanych, „oryginalnych” metafor, wypranie z szczerzego uczucia i z najprostszej refleksji, jest przyczyną niepopularności, niechwytności (jeśli chodzi o odbiorcę) wielu młodych nawet utalentowanych poetów. Może właśnie w tych punktach: w sztuczności obrazowania, w wyszukaniem słownictwie, w obawie przed prostotą, — odbywa się to podkreślane powszechnie przez publicystykę „mijanie literatury z życiem”. I dlatego może więcej przyjemności daje poznanie tych, choć trącających muszką, ale prostych i treściwych wierszy Kościelskiego, niż wykrygowanych a pustych wewnątrz produktów poezji, zalewającej rynek potopem tomików.

Jan Kott. Ryszard Matuszewski. Włodzimierz Pietrzak. Biblioteka Klubu Art. S. Tom. I. W. wa 1934. Nakładem Ks. F. Hoesicka.

Trzech młodych adeptów poezji z akademickiego klubu S debiutuje zbiorem wierszy. Bardzo to jeszcze młodzieńcze wiersze. Stosunek do rzeczywistości u wszystkich trzech niedojrzały, nieustalony, w znacznym stopniu werbalistyczny. Autorzy oglądają świat przez okulary swych poprzedników poetów, pod wpływami których pozostają tak dalece, że wraz z formami wierszowania i obrazowania przyjmują od nich uczuciowe nastawienie do rzeczy, wrażeń i przeżyć. Ta niesamodzielność postrzegania, myślenia i wyrazu nie pozwala wydać sądu, który z nich jest bardziej skrzystalizowaną indywidualnością. Jeśli chodzi o jakieś cechy wspólne trzem autorom, to jest niemi zbiorowy kult Przybosa i Czechowicza, uprawiany z taką namietnością, że Pietrzaka możnaby określić, jako małe wydanie Przybosa, Czechowicza i Czuchnowskiego w jednej osobie. Liczne jego metafory — to parafrazy metafor powyższych poetów. Różnią młodych autorów tylko temperenty, stopień młodzieńczego pozerstwa i zakres wpływów, jakim ulegają. Najszczerzy może w wyrazie, ale i najwrażliwszy na wpływy jest Kott: bierze wzorki ze Skamandrytów (Broniewski, Wierzyński) i z awangardystów. Matuszewski przedstawia się naiwnie, i w formułowaniu i w ekspresji: wzory (Flukowski, Słobodnik, Przybós — w dziwnej zgodzie). Pietrzaka wystarczająco charakteryzuje to, co o nim powiedziałem wyżej. Sumując — wszyscy trzej to kłębek mgły: nie można przewidzieć jakie kształty z niej się wyłonią.

Ws.

Po zdobyciu

Aconcagui oraz Mercedario

relacje uczestników wyprawy

znajdziecie jedynie

w GAZECIE POLSKIEJ

D W I E R E A K C J E

Przeczytanie książki bywa nieraz dziełem trudu, szansy, albo dowodzi jej braku u wybierającego.

Ten banalny truizm oślnął mnie clementarną trafnością, po przeczytaniu w Pionie (Nr. 9) artykułu zatytułowanego: „Katechizm dyplomaty”.

Oto dwóm ludziom dostały się do ręki dwie książki — obie zawierające prawowierną doktrynę katolicką. Obie były pisane przez fachowych teologów — w najściślejszym tego słowa znaczeniu. P. Skiwski zapoznał się z treścią „Katechizmu” kardynała Gaspariego, ja — ze świętym francuskim przekładem książki Karla Adama¹⁾ — profesora na wydziale teologicznym katolickiego uniwersytetu w Tubindze. Nikt nam tej lektury nie narzucił, wybraliśmy ją dobrowolnie. — W celu? — Dopłnienia, czy pogłębienia naszej wiedzy. Obustronnie więc motyw ten sam — dobra wiara ta sama.

Czemu rezultaty okazały się odwrotne? Zatem nierówność szans, czy stopnia intuicji przy wyborze książki? — W takim razie można by się zapamiętać nad niesprawiedliwością losu? — Ale nie. — Odwiodłoby mnie to zdaleko od mego celu.

Jabym chciał wykazać przyczynę, dlaczego mozolne dzieło kardynała Gaspariego poruszyło w p. Skiwskim tyle niepokojących refleksyj, na dwóch, czy nawet trzech odcinkach katolickiej doktryny — kiedy mnie, na tych samych odcinkach, książka K. Adama otworzyła nieprzeczekane dotąd możliwości wielu wyjaśnień.

Częściowe rozwiązanie dylematu okazuje się może prostsze, niż mi się to narazie wydawało.

Po pierwsze każdy katechizm ma szeptowność kodeksu i z tego tytułu musi być kateregiczny.

Wyobraźmy sobie teraz przez analogję, sprawiedliwość wymierzana ściśle według litery prawa, — bez instytucji sędziów przysięgłych.

Stosunek człowieka do sankcyj prawnych — tam gdzie zaszła z jego strony wina lub pomyłka — a cóż dopiero w analogicznych wypadkach, stosunek człowieka do wyroków katechizmu — nie da się pomyśleć bez psychologicznej korektywy — bez transportacji gołych faktów i szeptownych dekretów — na teren względności, z którego wyrastają ludzkie przewiny i błędy.²⁾

„Le vrai visage du catholicisme” (Istota katolicyzmu) — jest jakby dziełem przysięgłego sędziego — głosz w odniesieniu do treściwych i zasadniczych orzeczeń katechizmów wogóle — a może nawet do tego, co katechizm kardynała Gaspariego, „przemilczają”. Poza to jest dziełem wszechstronnego znawcy doktryny, a co w tym wypadku wydaje mi się ważniejsze — świętego komentatora „tradycji”, z jaką ta doktryna była interpretowana w ciągu stuleci.

Zastrzegam się z góry, że tak jak p. Skiwski, — nie jestem teologiem — ale zwykłym laikiem, — że w tem, co piszę, nie mam intencji polemicznych, ani zamiaru dawać recenzji z książki prof. Adama.

Interesuje mnie poprostu różna bardzo reakcja dwóch wrażliwości, na skutek zaznajomienia się z treścią tej samej nauki — ujętej w odmiennej formie przez obu ekspertów — ale z jednakową ścisłością co do treści. Jedyne momenty tego konfliktu mnie obchodzi i tylko myśli, jakie mi nasunął, zamierzam tu poruszyć, pod kątem widzenia prof. z Tubingi.

Jego książka — przeznaczona dla zaznajomienia protestantów z istotą katolicyzmu — uwydatnia specjalnie dwie zasadnicze jego cechy. Dynamizm nauki, jej stały rozwój, narastanie³⁾, zdolność asymilowania nawet obcych pierwiastków — (byłe nie sprzecznym z jej wewnętrzną treścią). Jednocze-

śnie niewzruszoność dogmatu. Z drugiej strony książka ciągle podkreśla zależność ewolucyjnych zdolności katolicyzmu od współdziałania (collaboration) wszystkich członków Kościoła.

W rezultacie obu poprzednich przesłanek prof. Adam zwraca uwagę, że ogłoszenie dogmatu nie jest i nie było nigdy autokratycznym aktem ze strony papieża. Ze było zawsze ukoronowaniem dojrzewania — w umysłach wiernych — ich pozytywnego stosunku do danej tajemnicy wiary, zawartej w „Objawieniu” i przekazywanej długo-trwałą „tradycją”.

Tem samem tłumaczy się — podług K. Adama — rzadkość ogłaszanych „urbi et orbi” decyzji papieskich, powziętych łącznie z soborem. (Jak wiadomo, jedyne momenty nicomyślności). Z tych samych przyczyn ani bulle, ani encykliki — wywołujące zwykle potrzebę chwali — nie mogą posiadać charakteru nieomyślności. Takie dekrety noszą często piętno czasu, w którym się pojawiły, zdradzają stopień rozwoju epoki, a nawet człowieka, który je ogłosił. „Katolicy wiedzą dobrze o tem — powiada K. Adam, że zgoda wewnętrzna, jaka się należy od nich tym rozporządzeniom, nie może być absolutna, ale warunkowa i ostrożna. Wiedzą, że nieraz może się zakraść błąd do tego rodzaju decyzji i że im — katolikom — przysługuje prawo — zapomocą pogłębionych studiów i prac — przygotować pełniejsze i głębsze rozwiązanie spraw poruszonych w takich dekretach” (str. 281—282).

Na innym znów miejscu powiada: „Kaźde pojęcie — jak zresztą wszystko, co obdarzone jest życiem — potrzebuje nietylko sprzyjającej głębi, ale i czasu dla rozrostu korzeni” (str. 289). „Kościół wierzy, że zdolność pojmowania prawdy nadprzyrodzonej może się rozwijać” (str. 289).

Newman nazywa tę prężność, zdolność rozrastania się niezmienną treść katolicyzmu, (do czego prof. Adam nieustannie też powraca): „czemś świętem, niewyraźnym, życiem, które rośnie; czemś — co wkraça w dziedzinę tajemnicy”. (Cytata na str. 194.)

Czy nie rzuci się tu w oczy pewna analogja, powiedziałbym nawet równoległość — z innym „misterjum”: z tajemnicą formy — w świecie organicznej przyrody? Claude Bernard, nazwał ją „ideą kierowniczą organizmu”.

Bez tajemnicy zatem nie byłoby wiary, a, według prof. Adama, „bez mistyki nie może być religii”.

Wydaje mi się, że w tem miejscu, da się już sformułować zapytanie: czy w obliczu podwójnej drogi, jaką postępuje idea kierownicza katolicyzmu”, (niezmienną treść, i jej stały rozrost w umysłach) — takie sprawy: jak zbawienie dusz innowierców, żydów i pogan, jak sprawa wojny, przemilczana przez kardynała Gaspariego, i jak pozorowane przemilczenie w religii katolickiej stosunku człowieka do zwierząt, nie mają widoków pomyślnego rozwiązania już dziś, lub w przyszłości?⁴⁾

To „dziś” odnosi się do rozstrzygniętej sprawy zbawienia innowierców etc. Kościół katolicki wyraźnie orzeka, że w każdym wyznaniu dobra wiara chrześcijanina, czy niechrześcijanina, decyduje o jego przynależności do ducha Kościoła, zapewniając mu możność zbawienia (str. 219—220).

Jeżeli, dla określenia dobrej wiary, katechizm i bulle uciekają się, pomimo to, do długich, drobiazgowych zastrzeżeń, czy nie należy tego przypisać wielkiej znajomości człowieka, jaką posiada stara instytucja kościelna, bądź co bądź, ustanowiona dla czuwania nad czystością ludzkiej intencji? Czy nie przyczynia się do tego wyjątkowa przenikliwość psychologii katolickiej, dla której odkrycia Freuda nie były żadną rewelacją? Każdy z nas miał wielokrotną sposobność przekonania się na sobie, ile czynników ludzkich sprysyga się w życiu, dla osłabienia w nim dobrej wiary, nietylko w dziedzinie religii.

Tem wdzięczniejszym się jest prof. Adamowi — czytając jego książkę — że kiedy staje w obronie nieustępliwości Kościo-

ła w dziedzinie dogmatu, przytacza zdanie protestanckiego pisarza Heilera (cyt. str. 207): „Jeżeli istotą katolicyzmu jest rzeczywistość uniwersalność, jeżeli on reprezentuje pełnię religijnych wartości — nie może być inaczej, jak ekskluzywnym”. Od siebie zaś — powiada prof. Adam (na str. 212) — „ile razy się mówi o „straszliwej” nietolerancji w rzeczach wiary, zapomina się, że to cecha właściwa każdej prawdzie”.

W jego apologii znajdujemy specjalnie ciekawe oświetlenie stosunku kościoła do innych wyznań. Polega ono na wyjaśnieniu, że dogmat konieczności istnienia kościoła dla zbawienia dusz, nie jest zwrócony przeciwko osobom, jako takim, ale przeciwko kościołom i społecznościom niekatolickim, jako społecznościom. Bo, „ile razy już nie idzie o walkę pojęć z pojęciami, ale o walkę ludzi z krwi i kości, jeżeli chodzi o takich czy innych niekatolików — teolog ustępuje miejsca psychologii — człowiek dogmatu człowiekowi współczującemu duszom”. (Str. 221).

„Według nauki katolickiej — zapewnia nas jeszcze prof. Adam — działanie łaski Chrystusa nie jest bynajmniej zamknięte w ramach społeczności chrześcijańskich” (str. 217).

To samo stanowisko najdalej idącego wyrozumienia, spotykamy u prof. Adama, w stosunku do ludzi, którzy bez własnej winy utracili wiarę. „O ile Kościół potępia wiarę człowieka, który, choć może, nie stara się jej oświecić — o tyle nie uznaje czystoformalnej przynależności do niej. Zgoda na podporządkowanie się doktrynie Kościoła musi być wewnętrzna, rozumna, musi być przyświadczeniem (assentiment) całej istoty moralnej w wolności i swobodzie (str. 279).

Jeżeli człowiek tego nie może, ma pozostać w dobrej wierze ze sobą, „choćby jego przekonania były obiektywnie błędne”.

Przychodzi tu na pomoc autorowi św. Paweł, w I liście do Koryntjan (rozd. IV w. 5): „Nie sądzcie przed czasem, aż nie przyjdzie Pan”.

Wiem, można na to odpowiedzieć: przeszłość historyczna przeczy za często tej nowej postawie katolicyzmu.

Karl Adam odpowiada na to, że, „gdzie jest człowiek, muszą być błędy”.

Winy przeszłości składa na symplicysty-

czną prostolinijność logiki ludzi dawnych wieków, którzy przypisywali złą wolę i stosowali kary — tam, gdzie dusze znajdowały się w absolutnej (invincible) niemożności poznania prawdy.

Ta świadomość konieczności reform, (które się zresztą realizowały przez wielkich świętych, wielkich papieży, przez założycieli zakonów), dowodzi, zdaniem Karola Adama, do jakiego stopnia Kościół uświadamia sobie, że idealny katolicyzm nie istnieje. Ze nie jest i nie był nigdy doskonałe urzeczywistniony. Ze jego właściwą cechą jest stawanie się, posuwanie się naprzód po drodze „mozolnego wzrastania”.

Jak wyglądają wobec powyższych twierdzeń, niezrealizowane postulaty zniesienia wojny, i przemilczany stosunek do zwierząt.

W dwóch przykazaniach miłości, w których Chrystus streścił swoją naukę, a które św. Augustyn zamknął w jednym: „Kochaj — i rób co chcesz”, w odwiecznym „nie zabijaj” dekalogu, w chrystusowym: „schowaj miecz do pochwy”, zawarte są potencjalnie wszystkie zakazy wykroczeń przeciwko prawu miłości.

Grunt pod te przykazania i te zakazy powinna uprawić ludzkość. Obowiązaliśmy do tego wszyscy.

„Idci kierowniczej organizacji Kościoła” nie sami katolicy, ale cała ludzkość musi nadać realną „formę”. Nikt z nas nie jest z tej współpracy zwolniony. Bez niej, każdy dekret, bulla, encyklika zawisnie w próżni.

Jedną z kart historii współczesnej, na której negatywny stosunek katolickiego Kościoła do wojny został zadokumentowany z wielką mocą, odnosi się do chwili wybuchu Wielkiej Wojny.

Kiedy ambasador austriacki w Rzymie zjawił się w Watykanie, prosząc o błogosławieństwo dla austriackiego oręża, papież odpowiedział kategorycznie: „Błogosławieństwo pokoju — nie wojnę”.

Pius X nie pobłogosławił walczących. Tem zatem stara legenda de Maistre⁵⁾ o świętości wojny — została przekreślona przez współczesnego papieża.

Z. T. Krepski

⁵⁾ Soirées de St. Petersburg t. II rozdz. 7.

Dołycki, Feuerring i Magdalena Gross w IPS-ie

Istnieją takie szczęśliwe organizacje artystyczne, które ulegają nawet istotnym przemianom, zachowując jednak podstawy swej głównej myśli kierunkowej. Ewolucja, której w ostatnim czasie uległo malarstwo Leona Dołyckiego, jest najlepszym tego dowodem. Rozbudowanie własnej rzeczywistości artystycznej na mocnych zasadach współczesnego koloryzmu — cała serja poszukiwań i analiza materiału w płaszczyźnie poimpresjonistycznych dylematów — wszystko to nie zdołało osłabić w pracy tego utalentowanego malarza dawnej dyscypliny nabytej w czasie walki o formę w pierwszej i trudnych początkach jego artystycznej działalności. Dołycki jeszcze wówczas, kiedy należał do formistycznej awangardy (r. 1919 — 1923) zdradzał wyraźną predylekcję do dekoracyjnego stosowania barwy. Wprawdzie metoda ta nie wiele przeszkadzała mu w upraszczaniu malarskiej formy — a jednak jego przysiężny rozwój, jako postimpresjonisty, widoczny był już wówczas jak na dłoni. Dzisiaj stając przed nami jako artysta całkowicie celu swego świadomy — może spokojnie spoglądać w przeszłość, która niewątpliwie umocni jego pozycję w współczesnym malarstwie młodszego pokolenia.

Dołycki łączy obecnie swe wysiłki z dążeniami licznej grupy b. uczniów kierownika paryskiej „majsterszuli”, prof. Pankiewicza — którego popularność wśród młodszej generacji malarzy wznosi obecnie prawie w tym samym stopniu — w jakim maleje uznanie dla konkurencyjnej ideologii jego przeciwników. Ale w tej wspólnej pracy zdołał Dołycki zachować jednak swe rysy indywidualne a to głównie dzięki swym odmiennym przedysponowanym kolorystycznym, gdzie poszczególne malowidła komponowane są w jednej zazwyczaj gamie barwnej z dopuszczeniem kontrastującej pointy, jako przeciwieństwa podnoszącego kolorystyczną grę obrazu. Mamy więc na jego wystawie malowidła utrzymane w gamie czerwonej, żółtawej, rzadziej w złotawo-rodzowej z dyskretną przeciwstawą zielonego lub niebieskiego. Światłocień nie odgrywa w tem malarstwie żadnej prawie roli a forma staje się wyłącznie funkcją barwy.

Z innych założeń malarskich wychodzi drugi z wystawców, Maksymilian Feuerring. I u niego wprawdzie barwa komponuje zasadniczo obraz — ale jej rola w układzie tym jest nieco inna a światłocieniowe walory podporządkowane są wyłącznie pra-

wom dekoracyjnego wypełnienia płaszczyzny. Feuerring rozważa tu przede wszystkim proporcje poszczególnych plam barwnych i ich wzajemnych stosunków a tam, gdzie mu to się wydaje niezbędne, pozwala nawet dominującej barwie przekroczyć granice formy i przelać się niejako poza kontur, który w tym wypadku spełnia funkcję dwojaką: organizatora formy i dekoracyjnej arabeski, demonstrującej konstrukcyjną władzę obrazu. Wydaje się to niemal konieczne w tej mocnej grze zwałczających się wzajemnie kolorów, gdzie trywialność od wytwornej rafinady, tak nieznaczna dzieli granica. W ostatniej fazie swej twórczości, Feuerring poszedł, jak sam się nam zwierza w komentarzu umieszczonym w katalogu: „po przez problem koloru i jego różniczkowanie, do dzisiejszej problematyki uzgodnienia formy z kolorem i nadania im równorzędnych wartości w budowie obrazu”. Komentarz ów świadczy o zupełnej świadomości i zdawaniu sobie sprawy z istoty dzisiejszego malarstwa u tego świetnego kolorysty.

Ucieszyłby się zapewne znany paryski rzeźbiarz zwierząt, stary Pompon, gdyby ujrział plastykę Magdaleny Gross. Piactwo tej artystki w bronzie i marmurze nie straca w jej dyskretnych transpozycjach swej przyrodzonej „charakterystyki” z całą jej stroną komiczną i dekoracyjną zarazem, a lekkość i ekonomja formy w tych rzeźbach odawna już zwracały uwagę krytyki. Niegorzej przedstawiają się również portrety tej rzeźbiarki — z których dwa, a w tem portret p. ministra Becka, podziwiamy na wystawie. W tem dziele wrodzone zacięcie dekoracyjne Grossówny ustępuje miejsca powadze linii i gruntownie przemysłanym proporcjom budowy.

Razem z umieszczonemi w sąsiedniej sali, żułowskiemi krajobrazami Kononowicza — wystawa w Ipsie robi niezwykle korzystne wrażenie.

K. Winkler



¹⁾ „Le vrai visage du catholicisme” (Grasset).

²⁾ „Kaźda istota ludzka jest zjawiskiem jedynek, kaźda jest boskiem słowem, które się nie powtórzy” (str. 284). Od tego założenia prof. Adam w całej książce ani na chwilę nie odstąpi.

³⁾ Str. 14 wstępu: „...za tysiąc lat i więcej katolicyzm okaźe się bogatszy, bardziej uzasadniony w swoim dogmacie, moralności, prawodawstwie, kulcie, niż katolicyzm XX wieku.”

⁴⁾ Patrz Nr. 9 Pionu „Katechizm dyplomaty” J. E. Skiwski.

OD SŁOWA DO SŁOWA

POKWITOWANIE NR. 2

Drugi skolei dowcip na nasz temat udał się „Wiadomościom”. Z całą obiektywnością podkreślamy to i kwitujemy.

Kwitujemy jednak z zastrzeżeniem: walu-ty, zawartej w adresowanym do nas przeka-zie — nie możemy uznać za dobrą! Jest podrobiona! Zręcznie bo zręcznie, ale jednak wyraźnie podrobiona.

To „pięknoduchostwo” bowiem, o którym pisze p. as. nie jest tem, o które nam cho-dziło.

Nam chodzi bowiem i chodziło od po-czątku o jedno: o to, że p. Słonimski w swo-ich kronikach tygodniowych od szeregu lat krzywdzi, rani i poniewiera z całą nonsza-lancją ludzi, którzy mają tego tylko pecha, że jakoś mu się nawinęli pod rękę czy pióro, i że przydali mu się choćby mimochodem na pretekst do jakiegoś dowcipu lub kalambu-ru. Takie poniewieranie ludzi — dla sportu poprostu — uważamy za rzecz godną jak naj-ostrożniejszego potępienia.

I zestawienie tych praktyk z pewną men-torską pozą „pięknoducha” wydawało się i wydaje nam dość smutną i przykrą gro-teską.

Pan as. odpowiedział na to zręczną sztu-ką, o pozorach zatrutego strzału: kwestję poniewierania ludzi pominął milczeniem zu-pelnie. Na ten temat — ani mru-mru! Broni natomiast swego tytułu „pięknoducha”. I po-wołuje się przytem na świadka niebylejaki-go: na p. Ignacego Matuszewskiego!

„Matuszewskiego atakujecie!” — woła ze zgrozą — jakże triumfująca!

Spokojnie! panowie — spokojnie! Bo jeśli nie pamiętaliśmy o polemice min. Matuszewskiego z p. Słonimskim na temat „pięknoduchostwa”, która miała miejsce zgorą rok temu, to obawiamy się, że i p. as. nie przeczytał jej sobie dokład-nie obecnie, i że źle zrobił, powołując się na odpowiednie numery „Gazety Polskiej”.

Bo przeczytanie tej polemiki prowadzi do wniosku prostego a syntetycznego: — że o ile zestawianie słowa „pięknoduch” — w po-tocznym tego słowa znaczeniu — z kimś, kto chronicznie poniewiera ludzi — jest grotesk-ką, — o tyle w tem znaczeniu, jakie nadał „pięknoduchostwu” p. minister Matuszewski,

o znaczeniu od potocznego różnem i głębiej ironicznym, — kto wie, czy nie da się ono do p. Słonimskiego zastosować:

(Mówimy to obecnie w formie warunko-wej, tak jak min. Matuszewski użył formy zapytania!)

Dla ilustracji i dla uniknięcia nieporozu-mień przytoczymy więc dosłownie co to jest „pięknoduch” według p. min. Matuszew-skiego (pięknoduch — w płaszczyźnie za-gadnień światopoglądowych, a nie w prak-tycznej robocie kronikarskiej). P. Słonimski bowiem, przy całym swem zamiłowaniu do chwytów formalnych w polemice, — zapo-mniał tę definicję przytoczyć.

Otóż: — „pięknoduchy — pisał min. Ma-tuszewski — to są ci, którzy nie mają sami własnej postawy wobec życia, i nie są w sta-nie przypuścić, aby ktokolwiek inny miał ją na serjo”.

— I tu dopiero następowało zacytowane przez as’a pytanie: „czy p. Słonimskiego na-leży zaliczyć do pięknoduchów?”

Przyznam się, że dwa numery „Gazety Polskiej” z przed roku przeczytałem, ale od-nośnych numerów „Wiadomości” — nie. I nie pamiętam odpowiedzi.

Ale zato znalazłem w teście „Gazecie Pol-skiej” nr. 22 z roku 1933 fragment inny. P. Janina Morstinowa, której artykuł stał się punktem wyjścia dla całej tej polemiki, i któ-rą p. Słonimski nie wiedząc zresztą, że to ona jest autorką artykułu, zaatakował wówczas — powiedzmy — nieco ordynarnie (zarzucił jej m. inn., że to co napisała, jest „stekiem fałszów”) — odpowiadał tam p. Słonimskiemu z niezwykłą doprawdy słodyczą i wdzię-kiem: — „choć pana znam jako delikatnego i milego człowieka, — to nie powiem by te cechy w pańskich polemikach specjalnie się uwydatniały”.

Trudno to było wyrazić bardziej eleganc-ko. Obawiam się, że te łagodne słowa p. Morstinowej mogą znaczyć, że i ona nie mo-gła uznać Słonimskiego-publicysty za piękno-ducha (w potocznym tego słowa znaczeniu), a jego formy polemiczne („stek fałszów”) musiały na niej zrobić wrażenie czegoś, co jest — odwrotnością delikatności.

(ach.)

NA EKRAKACH

PIESNIARZ WARSZAWY
(Kino Filharmonja)

Bodo niby drugi Kiecura, funkcjonu-jący w kraju, podrabia Chevaliera i za-wraca gitarą głowę naiwnym. Śpiewa pio-senki o beznadziejnych tekstach i ni-kiej melodji. Wogóle muzyka, która mo-głaby i powinna być główną warto-ścią tego filmu, została sprowadzona do najniższych granic smaku, harmonji i wdzię-ku, a wykonanie pieśni przez Bodo, jest martwe, jednostajne i nużące. Nudna całość rozlatuje się na wszystkie strony, nie pod-arta ani urokiem, ani logiką, ani pomys-łowścią reżysera, autora scenariusza i głów-nego aktora.

A. L. 14 ZATONEŁA
(Kino Europa)

Film wojenny. Rok 1918. Flota Stanów Zjednoczonych działa na morzu Adryaty-ckiem przeciwko eskadrom i portom państw centralnych, a przedewszystkiem przeciwko Durazzo. Głównym „bohaterem” jest łódź podwodna, którą ukazano nam dość wszech-stronnie, jeśli chodzi o środki i sposoby jej działania. Można było to zrobić lepiej, ale na przeszkodzie stała (jak zwykle w fil-mach) akcja miłosna, słaba, banalna i bez wyrazu. W dodatku miasta portowe włoskie bardzo problematycznie demonstrowały swo-ją specyficzną atmosferę południową. Film, który mógł być bardzo dobrym, został przez romantyczne smaczki popsuty i niemal uszko-dzony. Za to wojna w przeciwieństwie do miłości udała się znakomicie. „Działalność” łodzi podwodnej, jej pracę niszczyliską — okazano nam bogato i wszechstronnie. Akcja przeciw stawiaczom min podwodnych, walka z samolotami, z torpedowcami, katastrofa na dzień morza, wreszcie atak na port wojenny Durazzo — stanowią ciąg pasjonujących wy-

darzeń, które załogę wystawiają na próbę woli i siły charakteru. Niektóre efekty przy-noszą zaszczyt realizatorowi, szczególnie piękne są zdjęcia łodzi podwodnej, zanurzo-nej w głębinach morskich. Wiele tu jest prawdziwych i właściwych tylko filmowi mo-mentów. Zywiol wodny, pokazany natural-nie, ale bez specjalnej przesady (jak np. bu-rza czy tajfun — momenty bardzo ulubione przez reżyserów), tylko swoją istotą — tak obcą naturze człowieka — potrafił w nas wzbudzić uczucia grozy dla siebie oraz po-dziwu dla załogi A. L. 14. A pokazano to nam wszystko środkami naprawdę filmowymi.

SZTUKA ŻYCIA
(Kino Światowid)

„Sztuka życia” polega na tem, że jest dwóch chłopców i jedna dziewczyna i że wszyscy troje mieszkają razem i nie są z że-łaza, a tu reżyser nie pozwala ze względu na publiczność. Nie pomaga nic i umowa dzeń-telmeńska, bowiem trzeba tylko wyjazdu je-dnego z chłopców, aby „sztuka życia” we troje utraciła równowagę i poprostu „wzięła w łeb”. Wszystko poza tem jest na wesoło, bo chłopcy są artystami: malarz i komedjo-pisarz, a wiadomo, że artyści są narodem bie-dnym ale morowym. Mieszkaństwo repre-szentowane w osobie fabrykanta szelek zo-staje pogńębione przez wielką sztukę (obaj chłopcy są wysocy), umowa dzentelmeńska odnowiona i życie we troje przywrócone ku radości widzów do dawnego trybu. Tylko, że teraz nikt nie wierzy w tą umowę, pomnąc słowa dzielnej bohaterki, że kobieta nie jest dzentelmenem. I to jest święta racja. Jes-cze- by tego trzeba było! Wystarczy, jeśli męz-czyzna jest parę razy w życiu dzentelmenem, a reszta jest „sztuką życia”, którą March, Cooper i Miriam Hopkins w tym filmie roz-rywkowym pokazali nam zgodnie z pierw-szorzędnymi wskazówkami reżysera Lubit-scha.

n.

KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

POEZJA

Antoni Olcha — Z pod strzechy chlop-skie strofy. Nakładem Związku Literatów Ludowych.

Aleksander Blok — Ogród słowicy. Tłum. K. Jaworski.

Zbigniew Folejewski — Dom w Gorcach. Wilno. Nakład Ludwika Chomińskiego. 1934.

Józef Marjan Chudek — Drzewa. Biblio-teka Klubu „S”. Tom II.

POWIEŚC, NOWELA

Jadwiga Kiewnarska — Najdziwniejszy z romansów Pani Sand. Towarzystwo Wy-dawnicze „Bluszc”. Warszawa.

M. Choromański — Opowiadania dwu-znaczne. Nakład Gebethnera i Wolffa. War-szawa.

E. Pawłowski — We mgle świtu. Powieść. Tow. Wyd. „Mewa”.

A. Palacio Valdes — Grzesznica święta. Powieść. Przekład Anny Szottowej. Nakład Księgarni św. Wojciecha

Wanda Miłaszewska — Trzecia siostra. Powieść. Nakład Księgarni św. Wojciecha.

Edwin Jędrkiewicz — Sąd. Powieść. Na-kładem F. Hoiesicka.

Franciszek Werfel — Rodzeństwo z Nea-polu. Powieść. Tom I. Tom II. Przełożył L. Staff. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki.

Rafał Len — Młodość za kratą. Warsza-wa. Wydawnictwo Współczesne.

Tadeusz Szmurło — Szwoleżery furaze-ry. Warszawa 1934. Główna Księgarnia Woj-skowa.

HISTORJA LITERATURY, KRYTYKA

Mieczysław Piszczkowski — Moralisci staropolscy. Tom pierwszy. Lwów. Warsza-wa 1933. Skład główny w Księgarni S. A. Książnica Atlas.

Stanisław Pigoń — Pan Tadeusz. Wzrost — Wielkość — Sława. Studium literackie. Instytut literacki. Warszawa MCMXXXIV.

HISTORJA

Catalogue de l'exposition commemora-tive Bathyó — Sobieski redigé par Béla Kossanyi Budapest 1933. Sarkany—Nyomda Reszvenytanszasag.

Rocznik Gdański. Organ Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Tom

VI. Rok 1932. Gdańsk. Nakładem Tow. Przyj. Nauki i Sztuki w Gdańsku.

Stanisław Wałęga — Dzieje polityczne Torunia u schyłku Rzplitej (1724 — 1793) z słowem wstępem Władysława Konop-czyńskiego. Tom I. Toruń. Nakładem Tow. Naukowego w Toruniu. 1933.

Jan Ptaśnik — Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce. Kraków. 1934. Nakładem Pol-skiej Akademji Umiejętności.

PSYCHOLOGJA, FILOZOFJA

Alfred Adler — Znajomość człowieka (Charakter). Polskie Towarzystwo Przyja-ciół Książki.

EKONOMJA

Zagadnienie Gospodarki Z. S. R. R. Wil-no 1934. Nakładem Instytutu Naukowo-Ba-dawczego Europy Wsch.

POLITYKA, SPRAWY SPOLECZNE

Elga Kern — Niemcy wczorajsze i dzi-siejsze. 1934. Warszawa.

„CZAS”

dziennik wychodzący w Krakowie od 1849 r. (7 razy w tygodniu)

wydaje co tydzień Dodatek naukowo-lite-racki, a raz w miesiącu specjalny „Dodatek Teatralny”.

Prenumeratę przyjmują Administracje „Czasu” Warszawa, ul. Szpitalna 1, Kraków, ul. św. Tomasza 32 i wszys-tkie biura i urzędy pocztowe.

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Hurtownia

dla księgarzy i wydawców, Sp. Akc. w Warszawie Plac Trzech Krzyży 8

Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie: księgarskie, rzą-dowe i prywatne i rozsyła je księgar-niom w całej Polsce do komisowej sprze-daży. Udziela wskazówek technicznych autorom i osobom, wydającym książki własnym nakładem.

WYDAJE PISMO REKLAMOWE DLA KSIĘGARZY P. T.

„KURJER KSIĘGARSKI”.

WSPANIAŁA NOWOŚĆ!

1.100 stron, 1.400 ilustracyj, 26 artystycznych wkładek, piękny papier, dobry druk

HISTORJA SZTUKI

R. Hamann — DZIEJE SZTUKI OD EPOKI STARO-CHRZEŚCIJAŃSKIEJ DO CZASÓW OBECNYCH
M. Walicki i J. Starzyński — DZIEJE SZTUKI POLSKIEJ

w przedpłacie zgóry za całość lub zł. 30— w trzech ratach kwartalnych Przesyłka zł. 3.—

zł. 27.—

ILUSTROWANY PROSPEKT BEZPŁATNIE

„Historja Sztuki” ukaże się w 9 zeszytach, poczynając 1.IV.1934
Każdy zeszyt będzie zawierał 128 stron druku i 2 wkładki

Oryginał dzieła Hamanna rozszedł się w Niemczech w ciągu roku w ilości trzystu tysięcy egzemplarzy i jest jedną z naj-lepszych nowych historyj sztuki. Ale ponieważ z konieczności traktuje polską sztukę tylko pobieżnie, dodaliśmy specjalną część, poświęconą sztuce polskiej, dającą w ujęciu syntetycznym możliwie ogólne pojęcie o całości życia artystycznego naszego narodu.

M. ARCT—WARSZAWA

Redakcja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 9.24-00; czynna poniedziałki, środy i soboty od godz. 18-19. Konto. P. K. O. Nr. 18.590
Administracja. Warszawa, Aleja Róż 2, tel. 8.21-44; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł., kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty—60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście.

Redaktor: Tadeusz Świącicki

Wydawca: za Tow. Kultury i Oświaty Julian Zielski

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10